POWIASTKI

I

WIERSZYKI

DLA

DOBRYCH DZIECI I ICH PRZYJACIÓŁ.

Zebrał i spisał

Tworzymir z Wielkopolski.

Część I.

LESZNO.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera.

1 8 6 3.

POWIASTKI

I

WIERSZYKI

DLA

DOBRYCH DZIECI I ICH PRZYJACIÓŁ.

Zebrał i spisał

Tworzymir z Wielkopolski.

Część I.

LESZNO.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera.

1 8 6 3.

Po pracy, po ukończonéj nauce, lubicie się kochane dzieci zabawić. Różne są dla was gry i zabawy, które wam sprawiają miłą rozrywkę. Czasem w chwilach wolnych moglibyście, miłe dziatki, czytać téż dobre i pożyteczne książki, które was nietylko zabawią, ale i pouczą. Wiele jest takich dzieci, które bardzo chętnie czytają dobre książeczki. Otóż dla tych ułożyłem niniejsze dziełko. Macie tu powiastki i piękne wierszyki. Starajcie się być takiemi, jak te dobre dzieci, o których w tych powiastkach mowa, a wierszyków uczcie się na pamięć. Szczęśliwy byłbym, gdyby ta książeczka zachęcała was polskie dzieci do dobrego, aby była dla was nauką i rozrywką w wolnych od pracy godzinach.

Tw.

Pilny Adaś.

Adaś już chodził trzeci rok do szkoły. Nie miał on wielkich zdolności, a mianowicie trudno mu się było uczyć na pamięć, ale za to był nadzwyczaj uważnym i pilnym. Starszy jego brat Michaś daleko lepszą miał pamięć, ale za to mało się uczył, i mało w szkole uważał. To téż Adaś zawsze wszystko lepiéj umiał, i bardziéj go téż nauczyciele i rodzice kochali.

Raz zadał nauczyciel do nauczenia się na pamięć piękny wierszyk Jachowicza pod napisem: „Chłopczyk śród drogi", który się zaczyna:

„Szedł chłopczyk z książkami, bardzo mu ciężyły."

Ktoby się najlepiéj tego wierszyka na pamięć nauczył, ten miał dostać piękną książeczkę z obrazkami. Dwa tygodnie było czasu do uczenia. Michaś już w pierwszych dwóch dniach umiał prawie cały wiersz na pamięć, a biedny Adaś ledwie kilka rządków się nauczył. Już prawie tydzień dochodził, a Adaś mimo najusilniejszéj pilnosci ledwie umiał połowę i to jeszcze niezbyt dobrze.

„Co się będziesz męczył", mówił mu niegrzeczny Michał, „i tak książeczki nie dostaniesz."

Westchnął Adaś, ale jednak nie ustał w pracy. Raz siedział sobie w ogrodzie pod lipą i uczył się głośno, ale prawie napróżno się uczył, bo w główce nic utkwić nie chciało. Biedny Adaś już zaczął wątpić, że się tego wiersza nauczy. „Ach Boże", mówił, „jaki ja nie-

szczęśliwy, że nie mam dobréj pamięci. Oto uczę się i uczę, a nie mogę się nauczyć.“ Usiadł biedny chłopczyna na kamieniu, a podparłszy główkę na rączce, zaczął płakać po cichu.

Widział to i słyszał ojciec Adasia. Zbliżył się po małéj chwili do syna i tak doń przemówił łagodnie: „Czegoż płaczesz mój synu i narzekasz, tylko nie ustawaj w pracy, a Bóg ci pobłogosławi. Posłuchaj, opowiem ci małą powiastkę o tém, że należy wytrwać w pracy, choć się z początku nie wiedzie. Był dawnemi czasy jeden król w Azyi, który wielkie prowadził wojny. Raz zostało w bitwie jego wojsko rozproszone, a on sam ledwie z wielką biedą uratował się ucieczką. Schronił się w gruzy starego zamczyska. Zaczął dumać nad swym smutnym losem, i już chciał poprzestać wszelkiéj walki. Wtém ujrzy małą mrówkę, która chciała zanieść na maleńki wzgórek ziarnko pszenicy. Już często osiągnęła szczyt kopczyka, ale za każdą razą zsunęła się na dół z ziarnem pszenicznem. Spoglądał król na to pracowite i wytrwałe zwierzątko, i zaczął rachować ile razy się owa mrówka na dół zsunęła. I naliczył już 69 razy, ale za siedemdziesiątą razą udało się nakoniec mrówce to ziarno na szczyt kopczyka zanieść. Wtedy pomyślał sobie król: Jakżeż mnie ta mrówka zawstydza; ja raz dopiero doznałem nieszczęścia, a już chcę wszystko porzucić, a to nierozumne zwierzątko mimo, że 69 razy się skulnęło na dół, jednak z nową wytrwałością brało się do pracy. I ja wezmę sobie przykład z téj mrówki. Jakóż król ten na nowo zaczął wojować, a w krótkim czasie podbił nieomal całą Azyę. Otóż widzisz Adasiu, i ty na wzór owéj skrzętnej mrówki nie ustawaj w pracy, a w końcu doczekasz się po-

myślnego skutku twych usiłowań. Masz niedobrą pamięć, to prawda, ale przez częste ćwiczenie, coraz ją więcéj będziesz udoskonalał. A im więcéj będziesz pracował, tém też milszą będzie ci nagroda, i tém więcéj będą cię wszyscy kochali. Zrób tylko swoje, kochany Adasiu, a o resztę się nie troszcz. Za pomocą wytrwałości można wielkich dzieł dokonać. Bierz więc przykład z mrówki."

Potém ojciec się oddalił, a Adaś z nowym zapałem zaczął się uczyć wierszyka. I jakoś mu lepiéj zaczęła iść nauka, a niedługo już niezgorzéj umiał wierszyk na pamięć. Widząc Adaś dobry skutek, podwoił swą pilność. Wstawał rychło rano, a wtedy najlepiéj się uczył, i jeszcze przypatrzył się pięknemu porankowi i rzeźwém oddychał powietrzem. Michaś zaś spał o nic się nie troszcząc, jemu się bowiem zdawało, że już umie wierszyk dobrze na pamięć.

Nakoniec zbliżył się dzień oczekiwany. Wiele dzieci nie umiało dobrze, wiele też było takich co umiały. Ale co Michaś to się popisał najgorzéj. Zaciął się kilka razy, i ani rusz daléj; możecie sobie wystawić co to nieborak miał wstydu, czerwienił się i aż zaczął płakać, ale darmo nie umiał prawie wcale nic wierszyka. Nauczył on go się prawda z początku, ale niedobrze, potém nic powtarzał, i dla tego nie umiał. Zaczął Adaś mówić. Cóż powiecie na to, oto Adaś nie popełnił ani jednéj omyłki, mówił wolno, wyraźnie, że aż miło było słuchać. Aż twarzyczka zajaśniała pilnemu chłopczykowi, a serduszko zaczęło mu żywiéj pukać z radości, że mimo wielkich trudności dobrze się nauczył wierszyka. Pochwalił go nauczyciel, i dał mu ładną książeczkę z pięknemi obrazkami, ale więcéj niż pochwała i ksią-

żeczka, sprawiało mu radości wewnętrzne zadowolnienie! Żal tylko było dobremu chłopczykowi braciszka Michasia, który był bardzo zasmucony.

Przyszli do domu, ale Adaś nic nie mówił, wiedząc, żeby to było przykro Michasiowi. Ten był bardzo zadąsany i ani nie chciał mówić z Adasiem. Było to markotno dobremu braciszkowi, wziął więc książeczkę, a podając ją Michasiowi powiedział: „Weź, Michasiu, tę książeczkę, bo ja ani na nią patrzeć nie mogę, gdy ty się na mnie gniewasz. Tylko proszę cię Michasiu nie gniewaj się na mnie, ja tak chętnie chciałbym, abyś ty był dostał tę książeczkę."

Tu już Michaś nie mógł dłużéj wytrzymać, dobroć Adasia do łez go rozrzewniła. Padł na szyję braciszkowi i zaczął go przepraszać. „O jakiś ty dobry Adasiu", mówił Michaś, „a ja taki zły, taki niegodziwy." „O nie mów tego", mówił Adaś, „tyś dobry, bo gdybyś był złym, tobyś był się na mnie jeszcze gniewał." I tak rozmawiali ze sobą braciszkowie, jeden drugiego przepraszając.

O jakże się cieszyli rodzice, dowiedziawszy się o wszystkiém. Ojciec mówił: „Widzisz Adasiu, nie miałem prawdy, gdym cię zachęcał, abyś brał przykład z mrówki i nie ustawał w pracy? Widzisz jak jest potrzebną i pożyteczną wytrwałość. Ale twe dobre serce, jakie dla brata okazałeś, bardziéj mi się podoba, aniżeli twa pilność. A i ciebie Michasiu pokochałem teraz więcéj, gdyś uznał twe błędy. Zapewne się odtąd poprawisz. Tak, tak, kochane dzieci, żyjcie w zgodzie, dopomagajcie sobie wzajemnie, a będziecie miłemi Bogu i ludziom."

Odtąd Adaś i Michaś żyli w jak największéj zgodzie i miłości. Uczyli się razem, Michaś dopomagał Adasiowi, a ten znów Michasiowi. Już wyrośli

później na dorosłych mężów, a jeszcze się kochali serdecznie i nieraz sobie przypominali szczęśliwe chwile młodocianego wieku. A i później brali przykład z owéj mrówki, i nieraz choć im się nie wiodło, nie ustawali w pracy tak długo, aż osiągnęli to, do czego dążyli. Nie trzeba więc ustawać w pracy, choć się nie wiedzie, a im trudniejsza praca, tém milsza nagroda i tém milsze zwycięztwo.

A możeby z was kto, kochani czytelnicy, pragnął się nauczyć na pamięć tego wierszyka, którego się nauczył Adaś, więc wam go tu przytaczam. Jest tu w tym wierszyku mowa o chłopczyku, który nie chciał pracować, jak mu zwierzęta radziły, aby porzucił lenistwo, a jął się pracy. Jestto tylko bajka, ale wielka z niéj płynie nauka.

Chłopczyk śród drogi.

Szedł chłopczyk z książkami, bardzo mu ciężyły,
Ten ciężar nie wszystkim zarówno jest miły,
Kazali, cóż robić? iść musiał do szkoły.
„Stój, z płaczem przemówił do lecącej pszczoły —
Stój, pszczółko, na chwilę i pomów z dzieciną:
Tyś sobie wesoła . . . mnie z oczu łzy płyną;
Ja idę do szkoły, tam człowiek surowy,
Ni tam się uśmiechnąć, ni tam z kim rozmowy,
Wstrzymaj się, pszczółeczko, przychylne wskaż oko,
Nauczysz mnie może tak latać wysoko.“ —
A pszczółka mu rzekła: „Wstrzymać się nie mogę,
Powinność mnie wzywa, spieszę w dalszą drogę.
O! muszę dokończyć mego plastru miodu,
Gdy zima nadejdzie, zginęłabym z głodu;
Jak piękną pogodę zesłały nam nieba!
Bądź zdrów, mój chłopczyku, korzystać z niéj trzeba.“
Wtem leci jaskółka, a chłopczyk ją goni,
I znowu ze łzami tak przemawia do niéj:

Wstrzymaj się, jaskółko, i zabaw się ze mną,
Ja ciebie tak lubię, trzeba być wzajemną. —
Nie dziecię kochane wstrzymać się nie mogę.
Powinność mnie wzywa, spieszę w dalszą drogę;
Mam wielu przyjaciół, i wieść im przynoszę,
Że się już wiośniane zbliżają rozkosze:
Niech się téj pociechy dowiedzą ode mnie:
Nie, nie mogę chwili tracić nadaremnie. —
I stanął jak wryty ów chłopczyk zdumiały,
I znowu mu z oczu łez krople padały,
I znowu szedł zwolna . . . Wtém brytan wypada. —
Mój ty psie kochany! — chłopczyna powiada —
Czy się też pozwolisz przybliżyć dziecinie?
Ja w tobie pociechę pokładam jedynie;
Nie cierpię tych książek . . . już ręce zdrętwiały,
Bodaj to się bawić! swawolić dzień cały!
O! jakże to wasze przyjemne jest życie!
Biegacie swobodnie i nic nie robicie.
O bardzo się mylisz, rzekł bryś do chłopczyka,
Czy widzisz opodal na polu rolnika? —
No widzę! — To pan mój, pracuje on w pocie;
Ale i ja mu ulgę przynoszę w robocie.
Tak wielkiéj ode mnie doznaje pomocy:
On wstaje ze świtem, ja nie śpię i w nocy,
Ja czuwam by jego nie zmarniał majątek,
I każdy troskliwie obejrzę zakątek,
I wołu przebudzam, co ziemię tę orzę,
By plenne dla ludzi zrodziło się zboże.
Tak, pracą się wszystko na świecie ustala,
Gdy głód nam zagraża, praca go oddala,
A każdy przy pracy tak czerstwy, wesoły,
O! porzuć lenistwo, idź dziecię do szkoły!

Popis w szkółce wioski Dobrowa.

Daleko i szeroko trzebaby szukać takich dobrych dziatek, jakiemi byli uczniowie i uczennice szkółki

w Dobrowie. I nie dziw, bo téż nauczyciel pan Piórkowski ze wszech sił starał się o oświatę powierzonych mu dzieci, w czém mu gorliwie dopomagał X. Proboszcz. Prawdziwa to była rozkosz przyjść kiedy do szkółki i spojrzeć na czysto i chędogo ubrane dzieci, jak się pilnie uczyły. Broń Boże, żeby które kiedy przyszło do szkoły nieumyte, niewyczesane, albo w podartém odzieniu. W szkole były posłuszne panu nauczycielowi, w czasie nauki nie śmiały się, nie obracały, ale były bardzo skromne i uważne. To téż podczas popisów szkolnych nie mogli się rodzice i inne przytomne osoby wydziwić postępom dzieci w naukach.

Tak téż odbywał się niedawno w téj szkółce popis, podczas którego byłem przytomny. Najprzód odśpiewały dziatki pieśń poranną: Kiedy ranne wstają zorze. Potém X. Proboszcz pytał się z dziejów przymierza i katechizmu, a prawie wszystkie dzieci na każde zapytanie dobrze odpowiedziały. Nastąpiło czytanie polskie, rachunki, jeografia i inne przedmioty, a mało w czém który z uczni źle odpowiedział, tylko z niemieckiém nie szło zupełnie dobrze. Mówili téż chłopcy i dziewczęta piękne wierszyki wolnym, wyraźnym głosem, które się bardzo wszystkim obecnym podobały.

Mały Waluś, syn sołtysa, powiedział: Powrót taty, napisany przez Adama Mickiewicza, a mówił tak pięknie, że go X. Proboszcz pochwalił. Zaś Macioś, syn włodarza, powiedział na pamięć wiersz, który wam tu umieszczam.

Alboż my to jacy tacy?

Alboż my to jacy tacy,
Nieboracy i prostacy?

Wszak żwawe z nas chłopaki,
I grzeczne i nie prostaki.
Gdy się w szkole zgromadzimy,
I z ochotą się modlimy,
Rzeknie o nas jaki taki:
Oto szkolne są chłopaki!

Alboż my to chłopcy brudne,
I obdarte i nieschludne?
Wszak to u nas choć ubogo,
Przecież zawsze jest chędogo.

Każdy chatę gdy zamiecie,
I z niéj sprzątnie wszystkie śmiecie,
Rzeknie o nas jaki taki:
Oto szkolne są chłopaki!

Alboż my to jacy tacy,
I ospali i próżniacy?
Wszakże w szkole do roboty
Jesteśmy pełni ochoty.

Gdy ze świtem idziem w pole,
Uprawiamy w znoju rolę.
Rzeknie o nas jaki taki:
Oto szkolne są chłopaki!

Alboż we wsi robim psoty,
Rwiem owoce, niszczym płoty?
Brać rzecz cudzą Bóg nam wzbrania,
Czcijmy Boskie przykazania.

Jak nie będziem nigdy kłamać,
Rwać owoców, drzewek łamać,
Rzeknie o nas jaki taki:
Oto szkolne są chłopaki!

Alboż my to jacy tacy,
I hultaje i pijacy?
W pijaństwie żyć to obrzydle,
Pijak gorszy niżli bydlę.

Gdy do karczmy po kościele
Nie idziemy i w niedziele,
Rzeknie znowu jaki taki:
Oto szkolne są chłopaki!

Potém Marysia, córka gospodarza Jędrzeja powiedziała piękny wiersz o Brzozie Gryżyńskiéj *), a Kasia, córka Bartłomieja komornika, mówiła na pamięć wiersz następujący:

Szkółka w Poznaniu.

W Poznaniu — wszak wy wiecie, gdzie to miasto leży?
Była szkółka ubogich dla wiejskiéj młodzieży.
Naukę nauczyciel pobożny wykładał,
Serduszkami dziatek władał.
I zawsze mawiał: „Gdy dobrzy będziecie,
Dobrze wam będzie na świecie;
A gdy opuścić ziemię będzie trzeba,
Pan Bóg was przyjmie do nieba.“
Dziateczki nauczek takowych słuchały,
Obrazić Boga się bały.
Żyły w zgodzie, miłości, Bóg czuwał nad niemi;
A skoro się czém mogły podzielić z biednemi,
Nie trzeba im było przypominać tego:
Pamiętały, że kochać Bóg kazał bliźniego.
Drogo ceniły każdą czasu chwilę,
Przy pracy spływał im czas mile.
Kochały prawdę; kto o co się spytał,
Odpowiedź w oczach wyczytał.
Pan Bóg błogosławieństwem otaczał ich w koło
I szkółka stała się szkołą.
I uczniowie, co z owéj szkółki wychodzili,
Dobrzy i szczęśliwi byli;
Jakikolwiek stan obrali,
W dobrém do końca wytrwali.

Gdy Kasia skończyła, wtedy tak się odezwał X. Proboszcz: „Starajcie się kochane dziatki, abyście i wy były takie dobre, grzeczne, posłuszne, jak dzieci téj szkółki w Poznaniu. Widzicie, jak to miło

*) Wiersze: Powrót Taty i Brzoza Gryżyńska, są zamieszczone w niedawno wydaném dziełku: „Kilka powieści i opowiadań, poświęconych młodszemu szczególnie pokoleniu. Zebrał i spisał Tw.“, które to dziełko wyszło w tej samej księgarni, co niniejsza książeczka, więc nie umieszczam tu tych wierszy.

posłuchać o bogobojnych dzieciach, a złemi to każdy się brzydzi.“

Następnie pytał się nauczyciel dzieci z dziejów czyli historyi polskiéj.

Nauczyciel. Powiedz mi Jasiu, kto miał być pierwszym założycielem Polski?

Jaś. Powiadają, że Lech miał dać początek narodowi polskiemu.

Nauczyciel. Co wiesz o tym Lechu.

Jaś. Lech miał przybyć wraz z swoim ludem w okolice, gdzie dziś stoi miasto Gniezno, i tam znalazł podobno gniazdo białych orłów. To wziąwszy za dobry znak kazał w tém miejscu wybudować miasto, które od gniazda Gnieznem miał nazwać, a orła białego przybrał za godło narodu. Ten Lech miał jeszcze podobno dwóch braci, Czecha i Rusa. Z tymi się rozstał, a każdy z nich w inną poszedł stronę. Czech miał dać początek narodowi czeskiemu, a Rus ruskiemu. Późniéj po wielu latach spotkali się znowu podobno ci trzéj bracia, a w tém miejscu na pamiątkę poznania miasto Poznań mieli zbudować.

Nauczyciel. Czy to są wszystko prawdziwe zdarzenia.

Jaś. Nie, to są dzieje bajeczne, niepewne.

Nauczyciel. A około którego roku to się miało stać?

Jaś. Roku 550 po Chrystusie, a zatém już jest od tego czasu 1300 lat.

Nauczyciel. Teraz Wojciech Pachołek powiedz kto miał panować po Lechu?

Wojtuś. Wizymir, potém dwunastu wojewodów, a po nich Krakus i Wanda.

Nauczyciel. Co wiesz o Krakusie?

Wojtuś. Wojewodowie źle rządzili, więc tedy

naród zebrał się do Gniezna, gdzie sobie obrał panem Krakusa. Miał on założyć miasto Kraków, w którém też mieszkał. Przy Krakowie pod górą Wawel miał się znajdować smok, który pożerał ludzi i zwierzęta. Krakus zabił podobno tego smoka, a to takim sposobem, że wypchał barana siarką i smołą i podrzucił smokowi. Ten gdy tego barana połknął, wtedy zapaliła się siarka i smoła, a w skutek tego smok się rozpęknął. Krakus rządził dobrze, nadał dobre prawa, bił nieprzyjaciół Polski, to też po śmierci usypał mu wdzięczny naród mogiłę, która się po dziś dzień wznosi pod Krakowem.

Nauczyciel. Czy istnieją smoki na świecie?

Wojtuś. Nie, i zapewne też to podanie o smoku co innego oznacza. Może to było jakie dzikie zwierzę, rozbójnik lub jaki nieprzyjaciel, który kraj polski pustoszył.

Nauczyciel. Maryanna Cegiełka powiedz kto nastąpił po Krakusie?

Marysia. Córka Krakusa Wanda. Była to mądra i bardzo piękna pani. Dowiedziawszy się o jéj piękności jeden niemiecki książę Rytygierz, pragnął ją pojąć w małżeństwo. Ale Wanda nie chciała iść za Niemca. Wtedy Rytygierz przyszedł z wielkiém wojskiem pod Kraków. Wanda pobiła go podobno, ale nie chcąc, aby naród krzywdę dla jéj piękności ponosił, skoczyła we Wisłę, a Rytygierz, dowiedziawszy się o tém, przebił się z rozpaczy. Naród usypał Wandzie, tak jak jéj ojcu mogiłę, którą jeszcze można widzieć pod Krakowem, a po dziś dzień śpiewają Krakowiacy:

Wanda leży w polskiéj ziemi,
Co nie chciała Niemca,
Zawsze lepiéj mieć rodaka
Niżli cudzoziemca.

Nauczyciel. Jeszcze się znajduje trzecia pod Krakowem mogiła, na czyją to ją cześć usypali Polacy, powiedz Kosmala?

Kosmala. Na cześć Tadeusza Kościuszki.

Nauczyciel. Kto to był Tadeusz Kościuszko?

Kosmala. Był to dzielny wojownik, który bronił Polski w upadku. Najprzód walczył w obronie wolności w dalekich krajach za morzem, które się nazywają Ameryką. Potém wrócił do Polski i był dowódzcą wojsk polskich. Pobił nieprzyjaciół w bitwie pod Racławicami. Kochał bardzo lud wiejski, a na znak miłości dla wieśniaków chodził w chłopskiéj sukmanie. W nieszczęśliwéj bitwie pod Maciejowicami został ranny i dostał się w rosyjską niewolę. Gdy został uwolniony udał się do Ameryki, a następnie osiadł w Szwajcaryi, gdzie umarł 1816 r. Wdzięczny naród polski usypał mu wielką mogiłę pod Krakowem.

Nauczyciel. Dobrze to było. A nie mógłbyś Antoni Kolasa powiedzieć coś o koniu Tadeusza Kościuszki?

Antoś. Kościuszko był bardzo litościwy, a każdemu ubogiemu dawał chętnie jałmużnę. Koń już tak się do tego przyzwyczaił, że przed każdym ubogim stawał. Raz Kościuszko będąc chorym nie mógł pojechać do ubogiego wieśniaka, któremu przyrzekł dać wsparcie. Prosił tedy znajomego sobie chłopa, aby był tak dobrym i oddał temu ubogiemu człowiekowi przyrzeczone wsparcie pieniężne. Kościuszko dał mu własnego konia, aby prędzéj stanął na oznaczoném miejscu. Wieśniak wróciwszy późno wieczorem tak się odezwał: „Panie Jenerale, jużbym więcéj nie siadł na waszego konia, chyba żebyście mi dali worek z pieniędzmi.“ „A to czemu?“ zapytał Kościu-

szko. „Oto jak tylko jaki ubogi człowiek stanął i prosił o jałmużnę“, odrzekł wieśniak, „tak zaraz koń stanął i nie prędzéj szedł daléj, aż dopókim ubogiemu nie dał wsparcia. Lecz gdym wydał parę groszy, które miałem przy sobie, wtedy musiałem udawać, że rzucam ubogiemu jałmużnę, aby tylko tego dobrego konia zaspokoić.“

Nauczyciel. Dobrze to było. Lecz wróćmy do dziejów bajecznych. Po Wandzie miało znowu panować dwunastu wojewodów, potém trzech Leszków i dwóch Popielów, a następnie rządził w Polsce Piast, czybyś Andrzeju Domagało nie mógł nam co o tym Piaście opowiedzieć?

Andrzéj. Piast był rolnikiem i kołodziejem w Kruświcy. Był to bardzo poczciwy, pracowity i gościnny człowiek. Raz przybyło do Kruświcy dwóch podróżnych i udało się na zamek książęcy, ale Popiel kazał ich wypędzić. Tych to podróżnych przyjął gościnnie Piast, który właśnie obchodził postrzyżyny swego syna.

Nauczyciel. Co to znaczy postrzyżyny?

Andrzéj. Postrzyżyny był to zwyczaj pogański, (gdyż wtedy jeszcze nasi przodkowie byli bałwochwalcami), że w 7^{mym} roku postrzygano dzieciom włosy i dawano im imiona. Znaczyło to tyle, co u nas chrzest święty.

Nauczyciel. Dobrze, a teraz opowiadaj daléj o Piaście.

Andrzéj. Ci dwaj podróżni postrzygli Piastowi syna i dali mu imię Ziemowit. Podobno mieli oni cud uczynić, a to taki, że miodu i mięsa nie ubywało, a wtedy bardzo wiele ludzi się u Piasta najadło i napiło. Za to też późniéj po śmierci Popiela naród obrał sobie królem Piasta, mówiąc, że kiedy

umiał dobrze gospodarować na małém, to téż i w kraju będzie dobrze rządził. Od niego to pochodzą królowie polscy, którzy pięćset lat w Polsce rządzili.

Nauczyciel. Anna Kolasa powiedz około którego roku to się stać miało?

Anusia. Piast zaczął panować około 863 roku, a zatém jest teraz już tysiąc lat, jak się to stało.

X. Proboszcz. Widzicie więc, kochane dziatki, jak to dobrze dawniéj w Polsce było, że i chłop, byle uczciwy, mógł być królem obrany. Jak to więc dobrze uczyć się dziejów swego narodu, z których się można dowiedzieć o tylu pięknych rzeczach. Za czasów téż Piasta zaczęło się już w Polsce krzewić chrześciaństwo. Kto z was wie, kochane dziatki, jak się nazywali ci święci mężowie, od których i my Polacy mamy świętą wiarę Chrystusową?

Dzieci (wszystkie razem). Święty Cyryl i Metody.

X. Proboszcz. Władziu, opowiedz nam nieco o tych świętych mężach?

Władzio (syn nauczyciela). Byli to dwaj bracia, a pochodzili z Solunia, miasta położonego w cesarstwie greckiém. Już w młodych latach odznaczali się świątobliwością życia i wielką mądrością, a mianowicie młodszy brat Konstantyn, który dopiero później przybrał imię Cyryla. Nawrócili oni Chazarów i Bulgarów na chrześciaństwo. Panował wtedy w państwie wielko-morawskiém król Rościsław. Ten wysłał do cesarza greckiego posłów z prożbą, aby dozwolił tym dwom świętym braciom przybyć do Morawy. Cesarz grecki chętnie na to zezwolił. Święty Cyryl wprzód jeszcze przetłumaczył na język słowiański pismo święte. Roku 863. przybyli święci i naród przyjął ich z wielką czcią i szacunkiem.

Zaczęli tedy święci ci mężowie opowiadać słowo Boże, a wkrótce upadło pogaństwo a chrześciaństwo zwyciężyło. Opowiadali oni słowo Boże w języku słowiańskim, a i nawet mszą świętą w tym języku odprawiali. Za to oskarzyli ich biskupi niemieccy w Rzymie, ale papież uznał ich za niewinnych i pozwolił im używać słowiańskiego języka w służbach Bożych. Nietylko w Morawie, ale i w Czechach, a nawet i w Polsce śś. Cyryl i Metody wiarę chrześciańską szerzyli. Są oni apostołami Słowian.

X. Proboszcz. Bardzo dobrze, ale cóż to są Słowianie, powiedz Kaźmierzu Nowacki?

Kaźmierz. Bardzo dawnemi czasy był wielki lud, który przybrał nazwę Słowian, niby od tego, że się za pomocą jednego i tego samego słowa mógł porozumieć. Był to lud gościnny, łagodny, pracowity, szczery, poczciwy. Zatrudnieniem Słowian było głównie rolnictwo, chodowanie bydła i pszczelnictwo, ale znali się także na wydobywaniu kruszców, soli, robieniu płótna i sadownictwie. Od nich to nauczyli się wiele Niemcy. Słowianie lubili bardzo śpiew i gędźbę, czyli muzykę, a nad życie miłowali wolność. Dawnemi czasy byli bałwochwalcami. Ich najwyższy Bóg zwał się Światowid, a prócz tego czcili Radegasta, Prowego, Dziewannę i innych bożków. Ich zgromadzenia zwały się wiecami, na których radzili o dobru kraju. Od tych to Słowian pochodzą Polacy, Czesi, Rusini, Serbowie i inne pomniejsze ludy, które po dziś dzień noszą spólną nazwę Słowian.

X. Proboszcz. Pięknie mój Kaźmierku nam powiedziałeś o Słowianach. Więc i my Polacy jesteśmy Słowianami. SS. Cyryl i Metody zatém nawrócili naszych przodków na chrześciaństwo. Otóż

w bieżącym roku 1863 jest temu lat tysiąc, jak się to stało. Owa stolica państwa morawskiego Welehrad jest tylko wioską, ale mimo to jestto drogie miejsce dla Słowian. To też tam mianowicie 1863 r. ta tysiącletnia pamiątka się odbywa. Zapewne wiecie o tém, kochane dziatki, że tymi podróżnymi u Piasta mieli być święty Cyryl i Metody. Ci święci bracia już za życia krzewili w Polsce chrześciaństwo, choć dopiero w sto lat póżniéj cały naród polski wiarę świętą przyjął. Kto to Ignasiu zaprowadził ostatecznie w Polsce chrześciaństwo?

Ignaś. Mieczysław I. r. 965, a to za sprawą swéj żony Dąbrówki, księżniczki czeskiéj.

Nauczyciel. Jak się nazywał syn Mieczysława?

Ignaś. Bolesław Wielki czyli Chrobry.

Nauczyciel. Józefku, co wiesz o tym królu?

Józefek. Był to największy król polski. Rozszerzył on daleko i szeroko granice Polski, tak że za jego czasów była Polska największą. Bolesław utrwalał w ziemi polskiéj chrześciaństwo, zakładał biskupstwa, klasztory, szkoły i nadawał dobre prawa. Kochał bardzo lud wiejski i nie dozwolił go uciskać. Za jego czasów opowiadał święty Wojciech w Polsce słowo Boże, aż od Prusaków został zabity. Bolesław prowadził liczne wojny z nieprzyjaciołmi, a mianowicie z Niemcami, których pobił wiele razy. On pierwszy koronował się na króla polskiego. Za jego czasów panował w Polsce dobry byt, złota i srebra było podostatkiem. Bolesław wspierał rolnictwo, przemysł i handel. W rzekach Dnieprze i Sali kazał bić słupy żelazne, na znak, że tam Polski granice. Gdy zdobywał miasto Kijów, wtedy ciął w złotą bramę swym mieczem, który się z tego powodu wyszczerbił, a więc szczerbcem był nazwany. Umarł

Bolesław Wielki roku 1025 w Poznaniu, gdzie też jego prochy spoczywają.

Nauczyciel. Jak się nazywał ostatni z Piastów, powiedz Grzegorzu Rybacki, i co wiesz o nim?

Grzegórz. Kazimierz Wielki. Był to król dobry, a na ubogich chłopków tak łaskawy, że go nazwano królem chłopków. Nadał narodowi mądre prawa w Wiślicy. Murował kościoły, klasztory, zamki, wspierał nauki, on to dał pierwszy początek akademii czyli najwyższéj szkole w Krakowie. Za jego czasów panowała w Polsce zamożność, bogactwa. Gdy Kazimierz wydawał swą wnuczkę za cesarza niemiecko-rzymskiego, który był zarazem królem czeskim, wtedy zdumiewali się wszyscy nad bogactwami Kazimierza. Wierzynek, mieszczanin krakowski, uczęstował i obdarował hojnie w swym domu królów i książąt. Kazimierz przyłączył do Polski Ruś z miastem Lwów i Halicz. O nim to powiadają, że zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną.

Nauczyciel. Powiedz ten piękny wiersz, którego się nauczyłeś o Kazimierzu Wielkim.

Grzegórz wychodzi na środek szkoły i tak zaczyna z pamięci wolnym, wyrazistym głosem mówić:

Kazimierz Wielki.

Śpiew historyczny przez Niemcewicza.

Przez trzy wieki z męztwa znany,
W męztwie Polak miał swe cnoty;
Na koniu, burką odziany,
Znosił głód i przykre słoty,
Ugorem stały obszary,
On bił Niemce i Tatary.

Było to widzenie nowe,
Gdy król zwołał do Wiślicy
Polaków plemię marsowe;
Oni w zbrojach i przyłbicy,
Sądząc, że wojować mieli,
Licznemi hufcy stanęli.

Kazimierz rzekł im: „Nie boju
Dziś od was żądam Polacy,
Czas byście żyli w pokoju,
I rycerze i wieśniacy.
Niech kraje bronią zajęte,
Uszczęśliwią prawa święte.“

To mówiąc, spisane księgi
Z ręku Mielsztyna odbiera,
Pieczęć wisiała u wstęgi.
„Ten zakon“, rzecze, „zawiera,
Przyszłego szczęścia zarody,
Waszę całość i swobody.

Nie dość obce ludy gromić,
Czas jest szczęśliwym być w domu,
Zuchwałą przemoc poskromić,
By nie szkodziła nikomu;
Gdzie sądu zwierzchność surowa,
Nie zapłacze nędzna wdowa.“

Jak w dzień majowéj pogody,
Gdy deszcz ciepły przejmie role,
Budząc uśpione zarody,
Żyzne zazieleni pole,
Tak rządem, co mądrość dała,
Zakwitnęła Polska cała.

Przychodzień tłumem się zbiera,
Na odgłos lubéj swobody,
Już pustynie pług rozdziera,
Wspaniałe wznoszą się grody;
Szereg twierdz, co granic strzeże,
Obronne baszty i wieże.

Nieraz król po włościach chodził,
I nieraz z kmieciem rozmawiał,
Wspierał w pracach, spory godził,
Nagradzał, w błędach poprawiał.
Ceny pochwały nie znano,
Gdy go królem chłopów zwano.

Już pod berło Kazimierza,
Cisną się bliskie narody,
Zakres się państwa rozszerza:
Ci co piją Sanu wody,
Wołyń na ów czas bezdrożny,
I Lwów i Halicz przemożny.

Szczęśliw wraca do stolicy,
A lud go wita wesoło,
Radne pany, wojownicy,
Otaczają go w około,
Niosły przodem hufce mnogie,
Korony i skarby drogie.

Tam wnuczkę cudnéj urody
Z Cesarzem śluby kojarzy,
Wzywa na weselne gody,
Czterech potężnych mocarzy,
Królów, książąt z Niemiec całych.
Mieści po gmachach wspaniałych.

Widziano przepych nieznany
W ucztach, turniejach, gonitwach,
Od piękności dank przyznany
Zwycięzcy w szczęśliwych bitwach,
Kto na ostrze dzielnie godził,
Wśród oklasku z szranków schodził.

Monarchów poczet wesoły
Prosi do siebie Wierzynek,
Od śrebra gięły się stoły,
Każdy biorąc upominek,
Myśli: szczęśliwy kraj cały,
Gdy tak mieszczanin wspaniały.

Kazimierz w wieku sędziwym
Doznał prac tylu nagrody,
Pod nim naród był szczęśliwym,
Żyzne pola, pyszne grody,
Na urzędach ludzie zdatni,
Takim był z Piastów ostatni.

Jeszcze następnie się wypytywał nauczyciel z dziejów polskich, a dzieci dobrze odpowiadały. Ksiądz proboszcz pochwalił pilne dziatki, tak się do nich odzywając: „Kochane dziatki! Naśladujcie naszych przodków w dobrem, a unikajcie ich błędów. Kochajcie ziemię ojczystą, ziemię polską, na któréj się urodziłyście, z któréj żyjecie, a w któréj, da Bóg, kiedyś spoczniecie. Kochajcie i tych, którzy jednym z wami mówią językiem, i na téj saméj ziemi żyją. Powinniśmy kochać wszystkich ludzi, ale już najbardziéj tych, którzy do tego samego, co i my, należą narodu. A nie zapominajcie i w waszych modlitwach o Ojczyźnie, proście Boga o szczęście dla naszego kraju. Bądźcie zawsze, drogie dziatki, dobremi, cnotliwemi, aby Bóg i Ojczyzna miały z was pociechę. A teraz wręczę tym dzieciom, które się pilnością i dobremi postępkami odznaczały, małe upominki.“ Tu X. Proboszcz zaczął rozdawać między dzieci książki i obrazki. Między książkami były: Wieczory pod Lipą, Pielgrzym w Dobromilu, Dobry Franuś i zły Kostuś i inne. Potém zaprosił dobry X. Proboszcz wszystkie dziatki na plebanię, gdzie dla nich kazał przyrządzić małą ucztę.

Po południu bawiły się dzieci wesoło pod przewodnictwem księdza proboszcza i nauczyciela. Długo dzieci szkoły dobrowskiéj będą pamiętały ten dzień popisu. Na drugi rok to jeszcze będą lepiéj wszystko umiały.

Oj gdyby to wszystkie dziatki na ziemi polskiéj były takie dobre, pilne, i tak dobrze znały dzieje Polski, jak dzieci szkółki w Dobrowie!

Wysłuchana Modlitwa.

Staś był synem biednych, ale poczciwych i pracowitych rodziców. Już w domu ojciec i matka zachęcali go do dobrego, do cnoty, a odwodzili od złego. Ich słowa nie były napróżno, gdyż mały Staś był bardzo dobrym, grzecznym i posłusznym chłopcem.

Gdy już był w szóstym roku, wtedy zaczął Staś chodzić do szkoły. Niedługo należał on do najpilniejszych i najlepszych uczni. Staś zawsze najlepiéj umiał dzieje święte i katechizm, czytał gładko i płynnie po polsku, pisał wyraźnie i pięknie, umiał dobrze rachować, i wszystkie inne nauki pojmował dobrze. W kościele i szkole zachowywał się przyzwoicie, a mianowicie w kościele nie obracał się, nie szeptał, ale modlił się z duszy i z serca całego za rodziców, nauczyciela, prosił dla siebie o łaskę i błogosławieństwo. W szkole nie kłócił i nie bił się z swymi spółuczniami, był uważnym i posłusznym dla nauczyciela, słowem był to tak dobry chłopiec, jakich mało. To téż nauczyciel nie mógł go się dosyć nachwalić, a sam X. Proboszcz i dziedzic pokochali od serca pilnego Stasia. Na każdym popisie odbierał zawsze pierwsze nagrody. Rodzice cieszyli się i dziękowali Bogu, że im dał takiego dobrego syna.

Gdy już Staś kończył lat dwanaście, wtedy go chcieli rodzice odebrać ze szkoły, a dać gdzie w służbę

lub na rzemiosło. Jakoż z wielkim płaczem opuścił Staś szkołę, a już tylko na niedzielne nauki uczęszczał. Starał się ojciec o jakie dla Stasia umieszczenie, a tymczasem kazał mu paść kilka owieczek na małém pólku, które posiadał. Posmutniał chłopiec, bo on tak chętnie chciałby się jeszcze daléj uczyć, ale nie wiedział, co począć, rodzicom zaś nie śmiał ani o tém wspomnieć.

Popędził Staś w pole owieczki, a wziął z sobą i książkę, którą dostał na popisie, aby w niéj czytać. Tak brał co dzień jaką książkę, a czytał, a uczył się, jakby w szkole. Nieraz to aż westchnął ku niebu, gdy sobie wspomniał, że nie może chodzić do szkoły.

Razu pewnego ukląkł Staś pod drzewem obok lasku i tak się zaczął modlić: „O Boże wszechmogący, zlituj się nade mną biednym chłopcem, a dozwól mi, abym się mógł daléj uczyć. Ach ja tak pragnę z duszy i serca się uczyć, zmiłuj się nade mną Ojcze niebieski i wysłuchaj mą prożbę. Przyrzekam Ci Boże, że zawsze będę żył bogobojnie, a tylko na dobre będę używał nauki.“ Potém zaczął Staś odmawiać Ojcze nasz, Zdrowaś, Wierzę i inne modlitwy, a modlił się serdecznie, i oto jego szczera, niewinna modlitwa została wysłuchaną, bo Stwórca nieba i ziemi spełnia modlitwy dobrych, grzecznych dziatek.

Aż się weseléj zrobiło Stasiowi, gdy przestał się modlić, w jego serce błoga wstąpiła nadzieja, a wtém gdy się obrócił do lasu, ujrzał niedaleko miejsca, gdzie się modlił, X. Proboszcza. Stał sędziwy kapłan pod drzewem, a łzy błyszczały w jego oku. Staś ujrzawszy go, zaczerwienił się cały, ukłoniwszy się więc grzecznie, chciał się czémprędzéj oddalić,

ale zatrzymał go ksiądz, mówiąc: „O Stasiu, dziecię moje, chodź do mnie. Wysłuchana twoja szczera modlitwa, Bóg to sprawił, żem słyszał twą prożbę, a ten Bóg natchnął mnie téż, abym cię wziął w opiekę.“

Staś w pierwszéj chwili nie wiedział co ma z radości począć, po małéj dopiero chwili rzucił się do nóg kapłanowi, dziękując mu za jego dobre serce i przyrzeczoną pomoc.

„Nie mnie, ale Bogu dziękuj“, rzekł kapłan, „jam tylko słabém, niegodném narzędziem Jego świętéj woli.“ Staś z uczuciem niewypowiedzianéj wdzięczności spojrzał ku niebu, a łzy, jak groch, spadały mu po licach. Roztkliwiony kapłan uścisnął go i pobłogosławił, mówiąc: „Oby błogosławieństwo Boże było zawsze z tobą, obyś nigdy nie zszedł z drogi cnoty!“

„Teraz zaś paś do wieczora owieczki“, mówił daléj kapłan, „ja zaś pójdę do twych rodziców, aby się z niemi o tobie rozmówić.“ Pasł owieczki chłopczyna, a rozczulony spoglądał za odchodzącym kapłanem.

Wieczorem przypędził owieczki do domu. Gdy wszedł do izby zastał już tam X. Proboszcza, rozmawiającego z rodzicami. Ojciec i matka spotrzegłszy Stasia, uściskali go, tak się doń odzywając: „O synu kochany, czemu nam o tém nie mówiłeś, że chcesz się daléj uczyć, a bylibyśmy ostatkiem się z tobą podzielili, bylebyś tylko mógł do szkół chodzić.“

Mówił potém wiele i pięknie X. Proboszcz, a na końcu oznajmił, że Stasia trzeba oddać do takich szkół, które się nazywają gimnazyum. „W kilka dni“, rzekł, „sam odwiozę Stasia do Poznania, bo się właśnie nowy rok szkolny zaczyna.“

Jakoż dotrzymał przyrzeczenia dobry X. Proboszcz. Rodzice pobłogosławili Stasia, a on pożegnawszy się z wszystkimi, z płaczem usiadł na bryczkę obok X. Proboszcza. Konie ruszyły pędem, a niedługo znikła Stasiowi z oczu rodzinna wioska. W drodze rozmawiał kapłan z Stasiem. Po dniu podróży ujrzał nagle Staś wysokie wieże kościołów w dali. „To Poznań“, rzekł X. Proboszcz. Stasiowi żywiéj zadrgało serce.

Stanęli w Poznaniu, a za staraniem kapłana przyjęto Stasia do gimnazyum. Wyszukawszy dlań stosowne mieszkanie, i poleciwszy go opiece nauczycieli, odjechał X. Proboszcz do domu. Staś z początku, był bardzo smutnym, ale wkrótce pilność w naukach rozpędziła jego smutek. Jeżeli się dobrze Staś uczył w wiejskiéj szkółce, to tém więcéj się przykładał do nauk w gimnazyum, gdzie także zawsze należał do najlepszych uczni. Możecie sobie wystawić, co to było zawsze radości w domku rodzicielskim, gdy Staś przyjechał lub przyszedł z Poznania na święta. I X. Proboszcz się radował, widząc, że Staś nietylko się pilnie uczy, ale jest także dobrym, pobożnym, cnotliwym chłopcem.

Wkrótce ukończy Staś szkoły, a potém zostanie albo księdzem, lub lekarzem, sędzią, albo téż profesorem, bo X. Proboszcz mówi, że trzeba tém być, co się komu najbardziéj podoba. Stasiowi najbardziéj się podoba stan duchowny, i dla tego zapewne będzie księdzem.

Widzicie więc, kochani czytelnicy, że Bóg wysłuchał szczerą modlitwę Stasia. Dzieci, bierzcie przykład z tego dobrego chłopca!

Jak Bóg wynagrodził miłość Antosia dla matki?

I. *Uboga wdowa Małgorzata i jéj syn Antoś.*

Małgorzata była wdową po ubogim wyrobniku. Mała, słomą pokryta chata, łączka, krowa i parę uli z pszczołami, stanowiły jéj całe bogactwo. Jedyną pociechą na świecie ubogiéj wdowy był jéj mały syn Antoś, żwawy, wesoły i dobrego serca chłopiec. Małgorzata pracowała niezmordowanie od rana do wieczora i późno w noc, aby siebie i syna wyżywić i przyzwoicie odziewać. Najwięcéj przędzeniem sobie zarabiała, a przytém i z łączki miała nieco dochodu. Za zarobione pieniądze kupowała zboże; mleko i masło miała od krowy, a miodu to jeszcze czasem sprzedać mogła.

Mimo ubóstwa była bardzo spokojną i zadowoloną z swego losu. Nieraz w pięknym dniu wiosennym, gdy słońce mile świeciło, szła z Antosiem na łąkę, ozdobioną pięknemi kwiatami. „Patrz“, mówiła do niego, „czy tu nie jest tak pięknie jak w raju. Ludzie mówią, żeśmy są ubodzy, lecz cóż to nas obchodzi? Wprawdzie posiadamy ledwie kilka zagonów roli, ale ta łąka jest dla nas prawdziwie krainą, mlekiem i miodem płynącą. Kto na tém przestaje, co ma, ten jest bogatym i szczęśliwym; kto atoli więcéj nad to pożąda, co posiada, ten jest ubogim, choćby i cały świat był jego własnością. Dziękujmy za to Bogu, co mamy, a nie pragnijmy więcéj.“

Mały Antoś, pod czułym matki dozorem, rósł szybko, a mimo prostego pożywienia rozkwitał jak

róża na wiosnę. Co dzień stawał się silniejszym, a coraz to więcéj wyręczał w pracy matkę. Nietylko na ciele, ale i na duchu się rozwijał. Małgorzata żadnéj nie opuściła okoliczności, aby syna zachęcić do dobrego, a napoić jego młodziuchne serce odrazą do złego. Dawniéj, bo już temu kilka set lat od czasu niniejszéj powieści, prawie wcale szkół wiejskich nie było, jednakże Małgorzata starała się jak mogła, aby jéj syn się czego nauczył. Uprosiła poblizkiego księdza, aby razem z innemi dziećmi i Antosia uczył dziejów biblijnych i katechizmu. Sama zaś słowem i przykładem dokonała reszty.

Gdy już chłopiec blisko czternaście lat liczył, wtedy starała go się oddać Małgorzata gdzie w służbę, aby się nauczył dobrze roboty. Więcéj nie życzyła sobie jak tylko tyle, aby Antoś stał się wyrobnikiem. Służyła ona w młodym wieku u pewnego gospodarza, trzy mile od niéj mieszkającego, za dziewkę. Syn tego wieśniaka, który wtenczas był jeszcze dzieckiem, objął tymczasem ojcowiznę. Do tego młodego gospodarza udała się Małgorzata, licząc na dawną znajomość, z prożbą, aby zechciał jéj syna przyjąć w służbę. Zgodził się na to wieśniak, a więc zajęła się sprawieniem synowi potrzebnéj odzieży.

Dobry Antoś przed odejściem pożegnał się z swymi dobroczyńcami i znajomymi. Nie zapomniał i o krówce, którą nieraz pasał. „Dobre stworzenie“, mówił do niéj, „żywiłaś mnie długo mlekiem. Już cię więcéj nie będę pasał, ale matka będzie o tobie pamiętała.“

Troskliwa Małgorzata przed pożegnaniem upominała czule syna, aby wystrzegał się złego, a czynił dobrze. Jeszcze na progu, gdy Antoś z tłumo-

czkiem na plecach, a z kijem w ręku, płacząc, ostatni raz się z nią żegnał, tak doń mówiła: „Idźże tedy w świat! Miéj zawsze Boga przed oczyma, módl się ochoczo, i kiedy tylko możesz, uczęszczaj do kościoła. Nie opuszczaj żadnéj sposobności czynić dobrze bliźnim. Nie zapomnij o twojéj matce, która cię kocha i kochać będzie serdecznie aż do śmierci. Bądź zdrów mój synu, a Bóg niech będzie z tobą.“

Od tego czasu Małgorzata jeszcze była pracowitszą i oszczędniejszą, niż dawniéj. Chciała dla Antosia oszczędzić nieco grosza, aby mu nie było tak trudno w początkach, gdy obejmie ojcowską puściznę. Nie gotowała często obiadu, ani wieczerzy, jedząc tylko chleb i mleko. Nic o tém do nikogo nie mówiła, ale sąsiedzi miarkowali to dobrze, widząc, że często kilka dni z jéj komina się nie kurzyło. Mimo jednak największéj oszczędności pamiętała zawsze na ubogich. Nieraz dała dzieciom ubogiego sąsiada miskę mleka, albo posmarowała im suchy chleb masłem, a w święta to jeszcze miodu dodawała. Piękne nauki atoli, które dzieciom opowiadała, były słodsze od mleka i miodu.

Pewnego wieczoru zimą, w czasie wielkiego zimna, zapędziła swą jedyną krowę do pobliskiego strumyka, aby ją napoić. Krowa piła z czystéj rzeczki, gdy wtém nagle wypadł wilk z pobliskiego lasu, rzucając się na krowę w obecności Małgorzaty. Wkrótce rozszarpał biedne zwierzę, a Małgorzata uciekła czém prędzéj do chaty, gdzie załamawszy dłonie, gorzko płakała. Nie tak smuciła ją wielka strata, jak raczéj żal i litość nad krową, która ją tyle lat żywiła.

Dzieci sąsiada przyszły nazajutrz, płacząc nad stratą krowy, wyrzekając zarazem, że już więcéj nie dostaną mleka i masła. „Ale czemu też to Pan Bóg

stworzył takiego żarłocznego wilka, który pożera dobre i pożyteczne zwierzęta?“ mówiło jedno dziecko. „Niegodziwy wilk“, rzekło drugie, „już kilka owiec porwał i rozszarpał. Czemu téż to Bóg na to zezwala?“

„Na to nie umiem wam odpowiedzieć“, odrzekła Małgorzata, „powinniśmy atoli wierzyć, że wszystko, co Bóg czyni jest dobrém i mądrém. Może chciał nam Bóg na wilku pokazać, jak okropném jest morderstwo, abyśmy zabójstwa i łupieztwa nienawidzili. Oby nikt z was, kochane dziatki, i w najmniejszéj rzeczy nie stał się podobnym okrutnemu wilkowi! Naśladujcie raczéj niewinne, spokojne owieczki!“

II. *Rycerz Skarbimir i jego syn Władysław.*

W téj saméj okolicy mieszkał także rycerz Skarbimir. Ten skoro się dowiedział o spustoszeniach, jakie wilk sprawia, który nawet i ludziom nie dawał pokoju, tak zaraz rozporządził polowanie, aby to drapieżne zwierzę zabić, i oswobodzić okolicę z okropnéj klęski. Wezwał tedy Skarbimir swych strzelców, oraz zaprosił przyjaciół, aby wzięli udział w tém polowaniu. Na prożby swego syna Władysława zezwolił wreście, aby i on uczestniczył w obławie. Cieszył się ojciec, że syn takie okazuje męztwo, jednak upomniał go surowo, aby się zawsze trzymał ojca lub doświadczonego strzelca nadwornego.

W dniu oznaczonym wyruszyli myśliwcy w towarzystwie psów do lasu, uzbrojeni w dzidy, łuki i strzały, bo strzelb ognistych jeszcze wtedy nie znano, dla tego téż daleko było wówczas trudniéj, aniżeli dziś, zabijać dzikie zwierzęta. Z wielką tedy postępowali strzelcy ostrożnością, nie oddzielając się zbyt daleko od siebie, aby jeden drugiemu mógł każdéj

chwili przyjść na pomoc. Młodemu Władysławowi było to wszystko za powolném, dla tego cichaczem opuścił ojca i udał się w gęsty bór, pragnąc czémprędzéj spotkać się ze zwierzem. Pałał młodzieńczym ogniem i żądzą, aby ubić wilka i okryć się takim sposobem chwałą.

Z napiętym łukiem szedł naprzód, a wnet też ujrzał biegnącego wilka. Władysław zmierzył i wypuścił strzałę, która świszcząc trafiła wilka w piersi. Atoli Władysław zaprędko się pośpieszył, przestrzeń była zadaleką, aby strzała mogła śmiertelnie wilka ugodzić. Rozjuszone zwierzę rzuciło się z wściekłością na swego nieprzyjaciela. Władysław, widząc grożące niebezpieczeństwo, starał się wleźć na ob k stojące drzewo. O mały włos co go nie uchwycił wilk za nogę. Szczęśliwie przecież dostał się młody myśliwiec na wierzchołek drzewa, choć mimo to wcale nie był bezpiecznym, gdyż drzewo nie było wysokie, a gałęzie niezbyt grube. Wilk po kilka razy z wściekłością piął się na drzewo, wyjąc przeraźliwie. Był to okropny widok dla biednego Władysława, gdy straszny zwierz z otwartą paszczą darł się do niego. Za każdą razą spadł przecież wilk na ziemię. Zmordowany położył się pod drzewem, błyszczące ślepie raz po raz na Władysława zwracając.

Młodzieniec spodziewał się, że wilk wkrótce się oddali, albo też strzelcy go spłoszą lub zabiją. Zaczął tedy z całéj siły wołać o pomoc, atoli mocny wiatr zagłuszał jego krzyki. Tymczasem nadchodził wieczór, słońce chyliło się ku zachodowi, a zimno stawało się coraz przeraźliwszém. Władysława położenie było okropne, bo jeżeli nie wilk, to mróz mógł go uśmiercić. W téj wielkiéj biedzie zaczął się Władysław modlić do Boga, błagając o pomoc.

Już nie zdołał wznieść w górę skrzepłych rąk od zimna, bo zaledwie mógł się trzymać pnia, aby nie spadł na ziemię. Oczy tylko i serce wzniósł ku niebu. „O dobry, łaskawy Boże“, szeptał z cicha, „usłysz mą modlitwę. Przebacz mi mą winę i nieposłuszeństwo dla ojca. Nie daj mi zginąć na tém drzewie od mrozu, ani téż nie dozwól, aby mnie wilk rozszarpał. Już nie mogę tu wytrzymać. Tu u góry i tam na dole czeka mnie śmierć pewna. Boże! zmiłuj się nade mną i wyratuj mnie z tego niebezpieczeństwa. Natchnij serce mego ojca i myśliwców, aby tu przyszli i uwolnili mnie od niechybnéj śmierci. Całe życie będę Ci, o Stwórco, wdzięcznym, a przykazania Twoje daleko będę ściśléj, aniżeli dotąd, wypełniał.“

Nie była daremną ta modlitwa, bo Bóg zawsze wysłucha szczeréj, z głębi serca pochodzącéj modlitwy. Gdy się wszyscy myśliwcy wieczorem zebrali, dostrzegli, że braknie między nimi Władysława. Ojciec myślał, że się znajduje przy starym strzelcu, a ten znowu sądził, że został przy ojcu. Wszyscy zasmucili się wielce, a nikt nie mógł zdać sprawy, gdzie się podział. Ojciec rozkazał i prosił, aby przeszukać las, choć to przy zapadającym zmroku nie było wcale łatwą rzeczą. Jednakże udali się wszyscy ochoczo. Wkrótce wpadły psy na trop wilka, a za ich śladem postępowali myśliwcy. Wilk słysząc szczekanie licznych psów począł zawczasu uciekać, a psy nie zdołały go już dogonić.

Skarbimir i jego orszak zbliżali się do drzewa, na którém się znajdował Władysław. Ten widząc zdala ojca i myśliwców, zeszedł czém rychléj z drzewa, śpiesząc do ojca i prosząc go o przebaczenie za nieusłuchanie rozkazu. Ojciec pochwycił go w ramiona, mówiąc: „Dzięki Bogu, że cię przecież po-

siadam, ale bądź posłusznym na przyszłość ojcowskim napomnieniom; sam się przekonałeś, że moje rady tylko twego dobra pragną.“

Stary myśliwiec niezbyt pochlebnie się odezwał do panicza. „Otóż to mamy, panięta myślą, że więcéj umieją, niż siwe głowy. Jaje nie powinno chcieć więcéj posiadać rozumu od kury. Niechże ztąd będzie na przyszłość dla Władysia nauka.“

„Tą razą“, rzecze inny myśliwiec, „jeszcze jako tako się skończyło, ale mogło stać się daleko gorzéj. Porywczość już dla niejednego człowieka stała się przyczyną wielkich nieszczęść.“

Na to odezwał się ojciec: „Macie słuszność przyjaciele, a zdaje mi się, że Władysław nie puści z wiatrem tych życzliwych nauk. Dziękujmy wszyscy Bogu, że go z tak wielkiego wyratował nieszczęścia. Ojciec nasz niebieski wysłuchuje modlitw swych dzieci, gdy te w utrapieniu doń wołają.“

III. *Dobre dzieci.*

Antoś, syn poczciwéj Małgorzaty, służył już znaczny czas wiernie i pilnie swemu gospodarzowi. Ochoczo brał się do każdéj pracy, a nie prędzéj ustał, dopóki jéj nie dokończył. Przytém był zawsze wesołym i grzecznym, usłużnym, uprzejmym dla każdego. Gospodarz i gospodyni kochali go téż dla tego jak własne dziecko, a dzieci gospodarstwa obchodziły się z nim jak z bratem.

Pewnego wieczora rąbał Antoś chróst, a dzieci gospodarza wiązały małe narączka. Wtém przyszedł znajomy Antosia, który był z téj okolicy, gdzie mieszkała jego matka. „Słuchaj Antosiu!“ odezwał się do chłopca, „twoją piękną krowę pożarł wilk drapieżny. Twoja matka płakała dla tego bardzo

wiele, a jeszcze jest smutną. Skoro się dowiedziała, że tu idę w te strony, tak prosiła mnie, abym ci o tém nieszczęściu doniósł i cię pozdrowił. Więc wiesz już o tém, a teraz niech cię Bóg ma w swojéj opiece, bo ja mam jeszcze znaczny kawał drogi przed sobą.“

Antoś zaczął płakać, a i dzieci wyrzekały, dzieląc jego smutek. Wyszli z chałupy gospodarz i gospodyni, pytając, cóż się stało. Dzieci opowiedziały, a Antoś mówił ze łzami w oczach: „Jakże się tam musi smucić moja kochana matka, kiedy tę dobrą krowę straciła. W całéj wsi była matczyna krowa najpiękniejsza, wy sami nie macie piękniejszéj. Była ślicznéj czerwonéj maści, z białą gwiazdką na czole. Tak zaś była gładką i tłustą, że kropla wody się na niéj nie utrzymała. Nieraz to i kilkanaście kwart mleka na dzień dawała. Jest to wielkie dobrodziejstwo od Boga, mieć dobrą krowę. Było to największe méj matki bogactwo, teraz dopiero będzie matka ubogą. Mleko było najlepszém i prawie jedyném pożywieniem matki, a cóż teraz pocznie, bo na inną krowę nie ma pieniędzy. Oj biedaż to, bieda!“

Dobry chłopczyna szedł do swéj komórki, a tam najprzód zaczął się szczerze modlić do Boga, prosząc o pomoc dla matki, a potém sam myślał, jakby jéj mógł ze swéj strony dopomódz. Nic jeszcze nie wziął z swéj zapłaty. Chciał on sobie za zarobione pieniądze kupić nowy kapelusz i sukmankę, dla tego się już dawno z tego powodu cieszył. Ale teraz nie myślał o tém. „Za moją zapłatę“, mówił sam do siebie, „kupię kozę i dam ją matce; aby nie miała wielkiéj biedy.“

Poszedł zaraz do swego gospodarza i objawił mu swój zamiar, prosząc, aby mu wypłacił to, co dotąd mu się należało. Gospodarz pochwalił jego

synowską miłość i w téj chwili wyliczył mu jego zasługi. Dzieci mówiły: „Ale teraz nie będziesz miał kapelusza i sukmanki.“ Na to Antoś: „Bez kapelusza i sukmanki mogę się bardzo dobrze obyć i żyć zdrowo i szczęśliwie, matka atoli bez kozy nie może się obyć. Pójdę zaraz do starego Tomasza, który ma dwie kozy; może mi z nich jednę sprzeda.“

Wkrótce wrócił Antoś, ale bardzo zasmucony. „Ten gospodarz“, opowiadał, „chce tylko za dobrą zapłatę odstąpić mi jednéj kozy. Żądał on jeszcze raz tyle, ile moje pieniądze wynoszą. Teraz wszelka moja uciecha za nic, a nie wiem, co mam zrobić!“

„Daléjże dzieci“, rzecze na to z uśmiechem gospodyni, „namyślcie się, na jaki sposób możnaby przyjść w pomoc dobremu Antosiowi i biednéj jego matce. Ty Elżbieto, jako najstarsza, powiedz, coby wypadało uczynić?“

„Ja myślę“, rzekła Elżbieta, „żebyśmy dały nasze pieniądze z skarbonek.“ Dzieci te bowiem miały swoje skarbonki, w które składały oszczędzone grosze. „Dobrze,“ rzekła na to matka, „jestto myśl bardzo dobra, więc daléj czémprędzéj zróbcie tak.“ Dzieci przyniosły wkrótce blaszane skarbonki. Nawet najmniejsze dziecko, jeszcze dobrze mówić nie umiejące, prosiło o swą skarbonkę, aby dać pieniądze Antosiowi. Matka miała kluczyki od skarbonek, otworzyła więc je i wysypała na stół pieniądze. Atoli nie było jeszcze tyle, ile było potrzeba na zakupienie kozy. Dzieci chciały dać swoje chrzestne wiązarki, atoli matka rzekła: „Waszych chrzestnych wiązarków dać nie możecie. Co nie dostaje, to ja dam z moich oszczędzonych pieniędzy.“ Ze łzami w oczach dziękował Antoś za to dobre serce. „Jakie z was dobre dzieci“, mówił do nich. Na to

rzekła Elżbieta: „Czyś ty nie lepszy od nas. My dostajemy przyodziewek od rodziców, a ty zaś musisz nań pracować; a jednak twoją zasługę chcesz dać matce.“

Antoś wziął pieniądze i poszedł kupić kozę. Dzieci poszły z nim razem, a dawno już nie radowały się tak serdecznie jak teraz, prowadząc kozę, do któréj kupienia i one swym oszczędzonym groszem się przyczyniły. „Patrzcie tylko“, mówił Antoś do gospodarza i gospodyni, „co to za piękne zwierzę. Długi, biały włos ją okrywa, a i te małe czarne łatki jak ślicznie odbijają. A jakie ma zakrzywione rogi, i jaką długą brodę. Ale to wszystko niczem, najlepsze jest to, że ma wiele mleka dawać, a to jest dla méj matki najbardziéj potrzebném.“

Zaprowadził potém Antoś kozę do chlewa, gdzie jéj dzieci naznosiły paszy podostatkiem. „Jutro“, mówił następnie do gospodarza, „chciałbym tę kozę zaprowadzić méj kochanéj matce, jeżeli tylko na to pozwolicie, i jeżeli już nie ma żadnéj obawy przed wilkiem.“ Gospodarz pozwolił na to chętnie, zapewniając, że wilk wystraszony w skutek ostatniego polowania, opuścił okolicę, bo już od kilku dni nie słychać, aby kto jaką szkodę poniósł.“

„Kiedy tak“, mówił Antoś, „to jutro rychło rano wyruszę w podróż. Jakże się cieszę na to, że się zobaczę z moją drogą matką. Jakże jestem szczęśliwy, że jéj będę mógł okazać, choć nieco, mą synowską wdzięczność za te liczne dobrodziejstwa, jakie od niéj odebrałem. Spodziewam się, że przez to w swém wielkiém nieszczęściu choć trochę się pocieszy.“ Dobry chłopiec nie mógł długo w nocy usnąć z wielkiéj radości.

IV. *Ubogi starzec.*

Nazajutrz przed słońca wschodem, już Antoś był przygotowanym na podróż. Gospodyni ugotowała dlań śniadanie i opatrzyła go żywnością na drogę. „Oto tam masz jeszcze“, mówiła, „bochenek chleba, trochę słoniny i nieco lnu dla twéj matki.“ Antoś dziękował wzruszony, a włożywszy wszystko do tłumoczka, i pożegnawszy się z wszystkimi, udał się w podróż, śpiesząc do rodzinnéj zagrody. Kozę prowadził obok siebie na powrozku.

Powietrze było mroźne, śnieg chrupał pod nogami. Już nieomal połowę odbył Antoś podróży, gdy przybył do kaplicy, która tam wznosiła się na wzgórzu.

Drzwi nie były zawarte. „Usłucham rady matki, pójdę się pomodlić“, mówił sam do siebie, „ale co uczynię przez ten czas z kozą, boby to było nieprzyzwoicie, a nawet grzechem, brać ją z sobą do kaplicy.“ Po krótkim namyśle przywiązał kozę do klamki przy drzwiach kościelnych, a sam wszedł do wnętrza i klęknął obok ołtarza. Modlił się gorąco z duszy i serca całego za kochaną matkę, oraz za zmarłego ojca, za gospodarza i gospodynią i za ich dobre dzieci, i za wszystkich innych swych dobroczyńców. „Dobry Ojcze w Niebiesiech“, mówił przy końcu, „przyrzekam Ci tu uroczyście wypełniać Twe święte przykazania i słuchać rad mojéj kochanéj matki, aby Tobie i Twym świętym aniołom i wszystkim dobrym ludziom pociechę sprawić. Użycz mi tylko Twojéj łaski, wszechmogący Boże, a nadewszystko Cię proszę, dopomóż mi, abym mógł jak najwięcej czynić dobrego méj matce!“ Słodko mu się zrobiło na sercu, gdy się tak modlił, cieszył się więc dobry chłopiec, że usłuchał matki, która mu

radziła, aby gdy może, chodził do kościoła. Niemało téż sprawiało dobremu Antosiowi radości to, że matce przyprowadzi kozę.

Pokrzepiony modlitwą na duszy wyszedł z kaplicy. Wtém ujrzał siwego, jak gołąb', starca w wytartéj odzieży, siedzącego na kamiennéj ławce. U stóp jego leżała wielka wiązka drzewa. Ów starzec, opierając ręce na kiju, spoglądał uważnie na kozę, przyczém błyszczące łzy mu w oczach stanęły. Antoś pozdrowił go uprzejmie, a potém zapytał: „Dlaczegóż, dobry ojcze, tak patrzycie żałośnie na kozę i dlaczego płaczecie?“

„Ach!“ przemówił tenże, „niegdyś i ja miałem taką piękną kozę, a jéj mleko było mojém najlepszém pożywieniem. Atoli razu pewnego pożarł mi ją wilk drapieżny, a od tego czasu cierpię wielki niedostatek, bo nie posiadając ani kapki mleka, muszę jeść chleb z wodą. To téż coraz więcej mnie siły opuszczają, a i teraz tak jestem osłabiony, że nie wiem czy to brzemię drzewa doniosę do mojéj chatki, która tam oto na rogu wioski o kilkaset ztąd kroków stoi.“

„Co do tego“, rzekł Antoś, „to jest bardzo łatwa pomoc. Ja wam prędko tę wiązkę drzewa do waszéj chatki zaniosę.“ Starzec nie chciał na to zezwolić, ale Antoś pamiętając na następujące słowa matki: „Bądź dla każdego człowieka, ile tylko możesz, usłużnym; modlitwa albo pomoc dana cierpiącemu nic zabiera czasu“, tak przemówił: „Dozwólcie, abym wam uczynił tę małą przysługę, która bardzo mało trudu wymaga. Jeszcze ani ćwierć godziny nie upłynie, a już tu będę z powrotem. Kozy myślę przez ten czas nikt mi nie ukradzie.“ „Możesz być pewnym“, rzekł starzec, „że ci jéj nikt nie zabierze, za to ci ręczę, bo tu we wsi i w okolicy mieszkają sami poczciwi ludzie.“

Antoś wziąwszy na barki brzemię drzewa, śpieszył prędko na dół do chatki starca, a ten postępował za nim zwolna. Złożywszy ciężar u drzwi małéj chałupki, wracał szybko napowrót. Starzec spotkawszy go niedaleko wioski, dziękował mu ze łzami w oczach. „Jesteś dobrym chłopcem“, mówił doń, „i szanujesz starszych. Oby Bóg raczył odpłacić ci tysiąckrotnie za twe dobre serce, jakie dla mnie biedaka okazałeś. A stanie się to, bo Bóg wynagradza dobre uczynki. Pomnij na moje słowa!“ Antoś ścisnął za rękę starca, a życząc mu wszystkiego dobrego pożegnał się z nim rozrzewniony. Szedł daléj, uradowany, że wykonał dobry uczynek. „To była także jałmużna“, pomyślał w duchu, „i bez pieniędzy można dobrze czynić ubogim.“

V. *Wilk i koza.*

Uszedłszy Antoś zaledwie kilkanaście kroków, ujrzał uciekających chłopców, którzy z całéj siły krzyczeli: wilk, wilk! Wszyscy ze strachu pobledli, jak ściana. „Gdzieście widzieli wilka?“ zapytał Antoś jednego chłopca. „Tam na pagórku, a leciał on prosto do kaplicy?“ była odpowiedź. Antoś przeląkł się okropnie. „O zapewne wilk pożarł moją kozę“, zawołał z płaczem, „ach biedna moja matka, już jéj teraz nie będę mógł dopomódz.“

Pośpieszył czém prędzéj ku kaplicy, nie zważając na to, że jego własne życie było w niebezpieczeństwie. Przyszedłszy na pagórek, stanął zadziwiony, gdyż ujrzał żywą kozę, tylko że była niespokojną i na wszystkie strony się rzucała, chcąc uciec. Skoro go atoli ujrzała, tak się zaraz uspokoiła, i zaczęła beczeć, radując się niejako z przybycia swego pana. Drzwi do kaplicy, niedawno na

pół otworzone, były teraz zamknięte, a w małém okienku w kaplicy widać było łeb wilka, który potłukłszy szyby, wszystkich sił dobywał, aby wyrwać żelazną kratę. Jego ślepie błyszczały z wściekłości, a raz po raz otwierał paszcz, i gryzł kłami kratę, ale mimo nadzwyczajnych wysileń nie mógł się z kaplicy wydostać.

„To jest widoczny cud!“ zawołał Antoś, „bo któż wziął moją kozę w opiekę, a tego wilka tu zamknął? Żaden człowiek nie mógł tego uczynić, a nie widzę też tu innych śladów na śniegu, jak tylko moje i starca, a ślady wilka znać aż do samych drzwi kaplicy. To musiał być anioł Boży, który nie dotknąwszy się ziemi, tylko się w powietrzu unosząc, wrzucił to zwierzę do kaplicy, aby już więcéj ludziom nie szkodziło.“ Pełen wdzięczności dziękował Bogu dobry chłopczyna za ocalenie kozy.

Wkrótce nadszedł ów starzec, któremu Antoni zaniósł drzewo. Dowiedziawszy się, że wilk leciał ku kaplicy, schwycił czémprędzéj za pałasz, który jeszcze z czasów wojskowych posiadał, i pośpieszył na pagórek, pragnąc swemu małemu dobroczyńcy dopomódz.

„Patrzcie, jaki się tu cud spełnił“, zawołał Antoni. „Oto wilk zamknięty, a mojéj kozie nic się nie stało złego. Powiedzcie sami, czy to nie cudowne zdarzenie?“

Rzekł na to starzec: „To jest łatwém do wytłumaczenia, jak się to stało, i dla tego tak ci to opowiem, jak gdybym był przy tém. Skoro wilk ujrzał kozę, tak pełen chciwości rzucił się na nią. Ta go ujrzawszy, uciekła przed nim ze strachu do kaplicy, bo drzwi nie były zamknięte, a otwierają się na wewnątrz do kaplicy. Potém odskoczyła na

bok, a gdy wilk straciwszy ją z oczu pełen wściekłości zaleciał aż do ołtarza, wtedy wyskoczyła koza z kaplicy, i pociągnęła za sobą drzwi; które mocno szarpnięte, zamknęły się, a wilk takim sposobem został schwytany!“

„Więc to nie był cud“, rzekł Antoś już nie tyle wesoły, „to więc zdarzyło się wszystko na zwykły sposób.“

„Chociaż nic w tém nie ma nadzwyczajnego“, odpowiedział starzec, „jednak to zdarzenie jest cudownem, gdyż Bóg to wszystko tak urządził, a bez woli Boga i włos człowiekowi z głowy nie spadnie. Bóg to sprawił, że nietylko twoja koza została uratowaną, a to drapieżne zwierzę schwytaném, ale jeszcze czeka cię wielka nagroda. Pewien bowiem niedaleko ztąd mieszkający książę, wyznaczył 10 czerwonych złotych dla tego, kto tego wilka schwyta lub zabije. Ta nagroda tobie się należy, albowiem ty byłeś przyczyną, że wilk został złapany, i dla tego też cię z pewnością obiecana nagroda nie minie.“

Antoni się zdumiał wielce, gdyż dziesięć czerwonych złotych znaczyło wtenczas tyle, co dziś 100 talarów. „O jeżeli tak jest“, mówił, „to będę mógł nietylko méj matce inną krowę kupić, ale jeszcze mi zostanie dość pieniędzy, które wszystkie będę mógł dać matce. Jeżeli te pieniądze dostanę, to wam, dobry ojcze, tę kozę daruję, bo gdyby nie wy, tobym był szedł z kozą dalej, a wilk byłby nietylko ją, ale i mnie może rozszarpał, a więc słusznie wam się ta koza należy.“

Starzec wzniósł oczy i ręce ku niebu, mówiąc: „Niech będzie sławione Imię Pańskie! Bóg ci za to pobłogosławił, żeś mi zaniósł brzemię drzewa do chaty, a i mnie dopomógł w biedzie; podziękujmy więc Bogu za tę nad nami opiekę.“

VI. *Dobry Antoś odbiera nagrodę.*

Gdy się nieco obaj pomodlili, wtedy znużony starzec usiadł na kamiennéj ławce, a Antoś tymczasem pośpieszył czémprędzéj do wioski. Wszyscy mieszkańcy siedzieli zamknięci w domach, obawiając się wilka; tylko tu ówdzie śmielsi wyglądali z okien, pragnąc się dowiedzieć, czy już wilk odszedł. Antoni zaczął krzyczeć: „Chodźcie, nie macie się już czego obawiać, bo wilk siedzi schwytany w zamkniętéj kaplicy!“ Wyszedł nakoniec wójt z kilku najodważniejszymi wieśniakami, aby się przekonać, czy to jest prawda. Jakoż przyszedłszy do kaplicy, widzieli oknem wilka, jak skakał i drapał się po ścianach do okien. Za każdą razą, gdy się jego łeb w okienku pokazał, cofnęli się wieśniacy w tył z przestrachu.

„Bogu dzięki!“ rzekł wójt, „że raz przecież ten wilk jest schwytanym. Teraz jesteśmy my i nasze bydło bezpieczni. Ale nie mogę pojąć, jak się to stać mogło.“ Starzec wytłumaczył wszystko zdumionym wieśniakom.

„Do stu maćków“, zawołał jeden z gospodarzy, „któżby się to był spodział, że koza złapie wilka.“ „Przyszła kryska na Matyska“, rzekł wójt, „nosił wilk, ponieśli i wilka. Bogu chwała, że nam dopomógł. W téj chwili wyślę posłańca konno do pana Skarbimira z doniesieniem o téj radosnéj nowinie, a zapewne dzielny ten rycerz niemało się uraduje, gdy się o wilku w kaplicy dowie. Ty zaś mały pastuszku zostaniesz u mnie, abyś odebrał nagrodę, która ci się należy. Przez ten czas będę się starał o ciebie i o twoją kozę; a spodziewam się, że będziesz miał u mnie dobrze.“

Jak rzekł tak się stało, a wkrótce pośpieszył jeden z wieśniaków na koniu do rycerza Skarbimira z uwiadomieniem. Skarbimir siedział właśnie z żoną i synem u stołu, jedząc obiad, ale skoro się dowiedział o wilku, tak rzucił łyżkę o stół i zawołał radośnie: „To jest pięknie! Będzie to uciecha dla mnie myśliwca! W téj chwili wyruszę do kaplicy, a ty Władysiu pojedziesz ze mną.“ Jakoż rozkazał osiodłać konie, i wnet z synem i myśliwcami wyruszył w drogę, nie dokończywszy ani obiadu.

W podróży musiał mu ów wieśniak wszystko szczegółowo opowiedzieć, a gdy się już o wszystkiém Skarbimir dokładnie wywiedział, wtedy pełen wesołości tak po kilkakroć przemówił: „Nic nad to piękniejszego, jak takim sposobem to drapieżne zwierzę ze świata zgładzić. Już się naprzód cieszę.“

Pełen niecierpliwości pędził czémprędzéj na koniu, tak że wkrótce przybył na wzgórek, gdzie stała kaplica. Nie zważając wiele na ukłony wieśniaków, choć zawsze był dla nich bardzo grzecznym i uprzejmym, wejrzał okienkiem do kaplicy, a po małéj chwili tak się odezwał: „Zaprawdę wilk jest schwytanym, ale jestto potężne wilczysko, jakiegom jeszcze w życiu nie widział. Im prędzéj, tém lepiéj, a więc bierzmy się do dzieła.“ Jakoż zaczął rozstawiać myśliwców naokół kaplicy.

Wójt zbliżył się z uszanowaniem ku niemu, mówiąc: „Mnieby się zdało, żeby najlepiéj było, tak długo wilka w zamknięciu zostawić, dopókiby nie zdechł z głodu, a tak nie byłoby potrzebnem się trudzić, i nie groziłoby nikomu niebezpieczeństwo utracenia życia.“

Na to zawołał zniecierpliwiony rycerz: „Czy myślisz, żeśmy wszyscy takie baby, jak ty? Kto zaś

widział, aby z bronią w ręku obawiać się wilka, a i to jest okropną rzeczą, aby się pastwić nad nim i morzyć go niepotrzebnie głodem. Nie, co tego, to nie będzie; z mojéj ręki od tego oszczepu padnie to drapieżne stworzenie. Dosyć mi ten wilk szkody wyrządził i moim poddanym także dokuczał niemało, to też raz zasłużył na karę. Daléj czémprędzéj ustawcie się kołem, a kto ma odwagę, niech drzwi otworzy."

Jeden z myśliwców, uzbrojony oszczepem, otworzył drzwi, ale wilk nie chciał wyjść z kaplicy. „Wilk nie głupi", rzekł rycerz, „miarkuje, że go czeka niemiłe powitanie, ale i na to znajdzie się rada. Daléj poszczujcie go psami, a tak rad nierad będzie musiał wyjść do nas." Skomląc wbiegły psy do kaplicy, a wkrótce wybiegł wilk, prągnąc ratować się ucieczką. O kilka kroków odc drzwi stał Skarbimir z oszczepem w ręku. Gdy wilk obok niego przechodził, wtedy ugodził go silnie w otwartą paszczękę ostrzem drzewca, a w kilka chwil już drapieżnik nie żył. Skarbimir, pełen radości, zawołał: „Tak to przyjdzie na koniec kademu zbójcy. Daléj zatknijcie wszyscy, na znak zwycięztwa, zielone gałązki, choćby tylko ze sośniny." Wszyscy myśliwcy i wieśniacy z radością to uczynili, wielbiąc odwagę rycerza.

Wkrótce nadeszło wielkie mnóstwo dzieci i kobiet, aby widzieć zabitego wilka. Skarbimir ucieszony tak się odezwał do zgromadzonych: „Dopóki ten zwierz był żywy, toby za nic w świecie nikt się do niego nie zbliżył. Coś podobnego tylko rycerz lub myśliwiec może dokonać. Przybliżcie się tylko bliżéj, już wam się teraz nie stanie nic złego, i przypatrzcie się temu potworowi!" Jakoż wszyscy obecni z podziwieniem przypatrywali się zabitemu wilkowi.

Wójt zapytał rycerza, czy się Antoś może spodziewać przeznaczonéj nagrody. „Nieinaczéj“, rzekł Skarbimir, „że ją otrzyma. Wprawdzie ja zabiłem wilka, ale mnie będzie dosyć na wewnętrzném zadowoleniu, żem was od takiego potworu uwolnił. Niech tu przyjdzie ten dobry chłopiec, a wezmę go z sobą na mój zamek, gdzie mu z méj kieszeni dziesięć czerwonych złotych naprzód wypłacę; a ja zaś późniéj odbiorę je z książęcéj skarbnicy.“

Wójt wyszukał Antosia, aby mu donieść o tém, co mówił Skarbimir. Antoni dowiedziawszy się o tém, rzekł do starego wojaka: „Teraz koza jest waszą, bo ja za te pieniądze, które dostanę, kupię méj matce krowę.“ Potém przyszedł do rycerza, aby mu podziękować za jego dobroczynność. Stary wojak zbliżył się także i opowiedział Skarbimirowi, jaki to poczciwy chłopiec jest Antoś, i że mu kozę darował. Skoro rycerz ujrzał starca, tak zaraz zawołał: „Co widzę, wszakżeś ty niegdyś wojował razem ze mną przeciw nieprzyjaciołom naszéj ojczyzny. Antoni jest dobrym chłopcem, kiedy ci darował kozę. Oto masz czerwony złoty, a oprócz tego nie zapomnę o tobie, abyś za to, żeś krew przelewał w obronie naszego kraju, mógł żyć spokojnie na stare lata.“ Uszczęśliwiony wojak ze łzami w oczach dziękował dzielnemu i dobremu rycerzowi za tyle dobroci. Jakoż Skarbimir dotrzymał późniéj słowa i zajął się gorliwie losem starego wojaka. A tak Antoni przez swoje dobre postępki i staremu wojakowi dopomógł.

Tymczasem Władysław, syn Skarbimira, zawołał ojca na stronę i tak doń mówił po cichu: „Nagrodę, którą Antoś odbierze, daje właściwie nasz książę, ale i my z naszéj strony mielibyśmy mu dopomódz. Kiedy siedziałem na owém drzewie, podczas gdy

ów wilk, którego dziś ojcze zabiłeś, czyhał na moje życie, wtedy uczyniłem ślub, że spełnię jaki dobry uczynek, jeźli mnie Bóg z tego nieszczęścia wyratuje. Do dziś dnia jeszcze nic nie uczyniłem. Czybyśmy nie mogli darować Antosiowi krowy? Ja chętnie dam na to wszystkie moje oszczędzone pieniądze.“

Rycerz Skarbimir ucieszył się, widząc, że jego syn takie dobre i czułe posiada serce. Zawołał więc Antoniego i tak doń się odezwał: „Kiedy ty darowałeś staremu żołnierzowi kozę, to i ja chcę coś dla ciebie z méj strony uczynić. Oto daruję dla twéj matki krowę, a jeszcze jutro każę ją odprowadzić, a i tobie zaraz wypłacę przyrzeczoną nagrodę. A teraz pojedziesz z nami do mego zamku.“

Skarbimir i syn jego Władysław popędzili co rychléj do zamku na dzielnych i szybkich koniach do niedalekiego grodu, gdzie na nich czekała niecierpliwie zacna Elźbieta, małżonka Skarbimira. Gdy przybyli, tak opowiedzieli jéj zaraz szczegółowo wszystko, co zaszło. Dobra ta pani wysłuchawszy opowiadania, rzekła: „Szczególniéj mi się podoba pobożność Antosia, jego miłość do matki i dobroczynność dla ubogiego starca. Chciałabym chętnie poznać bliżéj tego dobrego chłopca. Władysiu idź no na dół i przyprowadź tu Antosia, bo już zapewne przybył do zamku.“

Władysław poszedł, a w kilka chwil przyprowadził chłopca, wiodąc go za rękę. Zakłopotany chłopiec, w swéj skromnéj, płóciennéj odzieży, zajął wielce uwagę szlachetnéj Elźbiety. Przemówiła ona doń bardzo łaskawie i wypytywała go się o matkę i o całe jego życie. Pochwaliła jego dobre serce, że za swój ciężko zapracowany zarobek kupił dla ma-

tki kozę, a potém darował ją starcowi. Kazała pozdrowić serdecznie matkę i pożegnała go w końcu, gdy już miał odejść, łaskawie.

Gdy już się oddalił, wtedy tak się odezwała do Władysława: „Cieszy mnie to wielce, że chcesz twemi oszczędzonemi pieniędzmi przyjść w pomoc matce Antosia. Ale twoje postępowanie w tém całém wydarzeniu z wilkiem nie było dobrém. Twoja popędliwość i nieposłuszeństwo o mały włos nie stały się przyczyną utraty twego życia, przez co byłbyś mnie i ojca nazawsze zasmucił. Tylko Bogu należy dziękować, że cię wyrwał z grożącego niebezpieczeństwa. Życzyłabym sobie, abyś co do szlachetnych uczuć był podobnym temu ubogiemu chłopcu w skromnéj płótniance. Takie postępowanie zdobiłoby cię więcéj niż złoto lub drogie kamienie.“

Do swego małżonka Skarbimira tak zaś przemówiła: „Na nowo się przekonałam, że przedewszystkiem należy się starać tak dzieci wychować, aby posiadały bojaźń Bożą, aby były posłuszne rodzicom, a dla innych ludzi aby były dobre, uczynne. Dlatego trzeba zawczasu w młodych serduszkach dziatek wszystkie złe namiętności wykorzeniać. Serca dzieci są podobne do roli, na któréj trzeba wprzód osty, ciernie i głogi wykorzenić, zanim się dobre nasienie zasieje. W podobny sposób trzeba wszystkie dzieci wychowywać bez względu na to, że się urodziły w ubogiéj chacie lub wspaniałym pałacu, i czy będą w przyszłości pługiem, szablą lub piórem pracować.“

Skarbimir przyznał prawdę słowom Elżbiety, a rozrzewniony Władyś przyrzekł, że zawsze będzie rodzicom posłuszny.

VII. *Uradowana matka.*

Nazajutrz siedziała Małgorzata w swéj izdebce, przędąc pilnie kądziel, gdy wtém przyszła do niéj sąsiadka, tak się do niéj jeszcze na progu odzywając: „Przynoszę wam dobrą nowinę, a oto, że wasz syn Antoś złapał wilka, za co odebrał nagrodę, przeznaczoną temu, kto to zwierzę zgładzi. Dzielny chłopiec pomścił się na pożercy waszéj krowy, a jeszcze za waszą szkodę dostaniecie dobre wynagrodzenie.“

Małgorzata nie chciała temu opowiadaniu wierzyć. „Jakżeż to być może?“ mówiła, kiedy mój Antoś nigdy się nie zajmował polowaniem, a nawet w całém swém życiu ani małego ptaszka nie zabił. Nie miał on nigdy w ręku łuku ani strzały, a do tego jest słabym chłopcem, więc jakżeby mógł zabić takie straszne i silne zwierzę? Zapewne jestto tylko wszystko zmyślone, aby się naśmiewać z mego nieszczęścia. Jestto dla mnie bardzo bolesném, tak że mogłabym nad tém płakać.“ Jakoż stanęły jéj rzeczywiście łzy w oczach.

Sąsiadka rzekła: „I mnie ta nowina zdaje się być podejrzaną, ale tak mi opowiadał stary strzelec, który tu niedaleko mieszka, a który nadaremno od dość dawnego czasu starał się zabić tego wilka. Nie opowiadał mi on prawda bliższych szczegółów, ale tyle mi tylko mówił, że go wstyd bierze na to wspomnienie, iż słaby chłopiec tak okropnego wilka uśmiercił, i odebrał nagrodę, na którą się wiele myśliwców cieszyło. Ale przecież niedługo dowiemy się więcéj o tém“, dodała sąsiadka odchodząc i żegnając się z Małgorzatą.

Ta przędła daléj rozmyślając nad słowami są-

siadki. Im więcej atoli się zastanawiała, tém bardziéj utwierdzała się w tém przekonaniu, że to wszystko jest zmyślonem. Wspomnienie na utraconą krowę, napełniło serce Małgorzaty wielkim smutkiem, tak że aż zaczęła płakać. Wtém nagle drzwi się otworzyły, a do izby wszedł uradowany syn jéj Antoni. Ten zaraz zaczął jéj opowiadać o wszystkiem, jak się wydarzyło, a nakoniec położył na stole dziesięć błyszczących czerwonych złotych. Małgorzata ledwie wierzyła owym oczom i uszom, a pełna podziwienia zdołała tylko Bogu dziękować za tę niespodziewaną i cudowną pomoc.

Antoś spojrzawszy oknem tak się odezwał: „Patrz, kochana matko, oto poczciwy pasterz Walenty prowadzi krowę, którą nam dobry pan Skarbimir darował!“ Matka wyszła z chłopcem przed dom, gdzie już stał Walenty, trzymając piękną, tłustą krowę na powrozie. „Oto przysyła wam mój pan“, mówił on, „tę krowę. Jest to najpiękniejsza ze wszystkich krów w méj oborze, dlatego téż bardzo mi żal się z nią rozstać. Jedno mnie tylko pociesza, że się dostanie w dobre ręce, bo wiem jakeście się dobrze obchodzili z tą krową, którą wam wilk pożarł.“

Małgorzata pełna radości i zdumienia zawołała: „O wielki Boże, jak jesteś dobrym! Ty zamieniasz smutek w radość. Kiedy straciłam mą krowę, wtedy nie przyszło mi na myśl, że przez to jeszcze większém szczęściem mnie obdarzysz. Nie myślę ja o szczęściu doczesném, ale wieczném, bo teraz nauczyłam się ufać Bogu, a ten Ojciec Niebieski nie opuścił mnie biednéj, za co niech mu będzie chwała na wieki.“ Chciała potém pasterzowi Walentemu dać czerwony złoty na piwo, ale ten nic nie chciał przyjąć, bo mu pan i pani dali dobre wynagrodzenie, zakazując mu

pod karą utraty służby przyjmować jaki podarunek od Małgorzaty. Życząc wszystkiego dobrego pożegnał poczciwy Walenty Małgorzatę i Antosia.

Kiedy już krowę wprowadzono do chlewa i zarzucono jéj obficie za drabinę siana, wtedy matka i syn udali się do chaty, gdzie Antoś jeszcze raz musiał wszystko obszernie opowiedzieć. Radość Małgorzaty była nie do opisania. Nakoniec tak przemówiła do syna: „Kochany Antosiu! słuchałeś słów matki, i dlatego Bóg ci pobłogosławił. Byłeś pobożnym i starałeś się twym bliźnim i mnie matce tyle uczynić dobrego, ile było w twoich siłach. Postępuj sobie tak i nadal. Kto kocha Boga i ufa Jemu, oraz wypełnia Jego święte przykazania, kto szanuje rodziców, kto żadnemu człowiekowi nie czyni nic złego, lecz owszem jest dla swych bliźnich uczynnym, tego téż Bóg i ludzie kochają, a takiemu idzie dobrze tu na ziemi, i po śmierci na drugim świecie.“

Spełniły się te słowa dobréj matki, bo Antoś wyrósł na dobrego, poczciwego człowieka, którego wszyscy kochali. I Władysław, syn Skarbimira, się poprawił, tak że był nietylko odważnym i dzielnym, ale zarazem dobrym, szlachetnym rycerzem, którego wszyscy poważali.

Bierzcie ztąd przykład kochani czytelnicy i naśladujcie dobrego Antosia i Władysława.

(Tłumaczone z pism X. Kanonika Schmida.)

Dobry Franuś.

Był to zimowy poranek, gdy mały Franuś, z torebką na plecach, szedł do szkoły. Śpiewał sobie

i gwizdał chłopczyna, aby mu się nie dłużyło, bo prawie pół mili iść musiał, gdyż we wsi, w któréj jego rodzice mieszkali, nie było szkoły. Idzie tedy wesoły Franuś żwawym krokiem, bo téż i wiatr był dosyć mroźny. Gdy wszedł do lasu, przez który droga prowadziła, ujrzał nagle jakiegoś na ziemi człowieka. Z początku przeląkł się chłopiec, ale po małéj chwilce przystąpił bliżéj, aby zobaczyć, czy nie może w czém dopomódz nieszczęśliwemu. Przekonał się, że to był sędziwy starzec, który zapewne osłabiony tu spoczął i zasnął. Pochwycił go mocno Franuś, ale starzec się nie obudził. Przyszło wtedy na myśl chłopcu, że może ten biedny człowiek umarzł. Słyszał on dawniéj, że umarzłych, tak samo jak i utopionych, można jeszcze często wyratować. Zaczął tedy trzeć śniegiem skronia starcowi, jakoż po kilku chwilach przyszedł tenże do siebie. Franuś uradowany zapytał go: „zkąd się tu wziął, co porabia itd.“ Starzec słabym głosem oznajmił mu, że idzie do syna, który jest leśniczym, ale w drodze pobłądził i całą noc chodził po polach, aż téż nad ranem nie mogąc znaleść ludzkiego mieszkania, tu się położył i zasnął. „Gdyby nie ty dobry chłopczyku“, mówił daléj starzec, „tobym tu może zasnął na wieki. O Boże, Boże, zlituj się nademną.“

Gdy się Franuś dowiedział, że biedny staruszek już dwa dni nie miał nic w ustach, tak zaraz dał mu kawałek chleba z masłem, co dostał od matki na obiad. Potém tak się odezwał: „Wiecie co, staruszku, pobiegnę do moich rodziców, i będę ich prosił, aby was przyjęli do siebie na kilka dni, bobyście wy tu na polu umarli. Poczekajcie więc tu tylko trochę, a ja wnet będę z powrotem.“

Franuś biegł co miał siły do domu, jakoż niedługo zdyszany mocno wpadł do izby. Rodzice zdziwili się wielce, nic wiedząc co to ma znaczyć, więc pytają, po co tu przyleciał? Franuś dopiero po małéj chwili opowiedział wszystko, prosząc gorąco ojca i matkę, aby chcieli dać przytułek biednemu starcowi. Trzeba atoli wiedzieć, że rodzice Franusia byli bardzo ubodzy, bo siedzieli tylko na komornem u pewnego gospodarza, a do tego mieli kilkoro dzieci. Lecz Franuś prosił tak usilnie, że nakoniec przyrzekli przyjąć na kilka dni do swojéj izdebki staruszka, aby pokrzepił swe siły. „Lecz jak on się tu dostanie?“ rzekł ojciec, „wiesz dobrze, że nie mamy koni.“

Franuś poszedł zaraz do gospodarza, u którego mieszkali, prosząc go, aby kazał pojechać wozem po tego nieszczęśliwego starca. Gospodarz był bardzo nieuczynnym, jednakże tą razą wykonał chętnie prośbę Franusia, a już w kilka minut jechał dobry chłopczyk na wozie z parobkiem do lasu. Łzami radości zalał się staruszek, ujrzawszy Franusia. Z pomocą parobka i Franusia wsiadł na wóz, a w krótkim czasie już się znajdował u rodziców litościwego chłopca. Ci, aczkolwiek sami ubodzy, przyjęli gościnnie starca, położyli go w najlepsze łóżko i jak mogli tak się o niego starali. Franuś wciąż siedział u łóżka, aby czuwać nad chorym. Nakoniec po kilku dniach powstał starzec, a pokrzepiony na siłach, zamierzał w dalszą puścić się podróż. Jakoż podziękowawszy za gościnne przyjęcie, pochwycił za swój kosztur, aby się udać do swego syna. Franuś towarzyszył mu znaczny kawałek drogi, a na odchodném wsunął mu w rękę dwa złote. „Weźcie to staruszku“, mówił, „jeszcze macie daleko do domu,

to wam się przyda w drodze. O jakże żałuję, że nie mam więcéj."

Starzec roztkliwiony nie chciał przyjąć tego daru, tłumacząc się tém, że dzieci bez pozwolenia rodziców nic dawać nie powinny. Na to rzekł Franuś: „Nie bójcie się dziadku o to, uczyniłem to z wiedzą i pozwoleniem rodziców. Te pieniądze zarobiłem sobie sam latem zbierając jagody, a rodzice pozwolili mi ich użyć na co mi się podoba, a i teraz chętnie na to się zgodzili, że je wam chcę darować. Weźcie, weźcie kochany staruszku, bobym myślał, że się na mnie gniewacie."

Nie mógł się oprzeć prożbom chłopczyny, przyjął więc pieniądze, nie mogąc z rozczulenia ni słowa przemówić. Po chwili dopiero tak się odezwał: „O dobre dziecko, niechże ci Bóg błogosławi za twe miłosierdzie, jakie okazałeś nad biednym starcem. Do śmierci będę prosił Boga za ciebie i twoich rodziców. O gdybym téż mógł się kiedyś wywdzięczyć za to dobrodziejstwo." Potém pożegnał starzec dobrego Franusia, dziękując jeszcze raz za wszystko tak jemu jak i rodzicom. Franusiowi, gdy się starzec oddalił, tak było miło i lekko i wdzięcznie na sercu, jakby go co najlepszego spotkało.

* *
*

Już lat kilka minęło od owego czasu. W domu rodziców Franusia zaszły niejedne zmiany. Ojciec jego zachorował raz ciężko, a mimo najtroskliwszéj pomocy rozstał się z tym światem. Pozostała sama matka z sześciorgiem dzieci, z których Franuś był najstarszym. Niedługo w izdebce biednéj Katarzyny (tak było imię matce Franusia) wielka panowała nędza. Głodne dzieci wołały chleba, a nieszczęśliwa matka nie wiedziała zkąd go dostać. Wtedy rzekła

raz matka do Franusia: „O kilka mil od nas mieszka mój brat młodszy, który choć nie jest bogaty, przecież ma się nie źle. Idź więc do niego, i powiedz mu o naszém nieszczęściu i wielkiéj biedzie, a proś go, aby nas poratował.“

Franuś, posłuszny matce, wziął swój kijek i udał się zaraz w drogę. Nad wieczorem przyszedł do wielkiego lasu. Szedł śmiało, polecając się Bogu, ale las tymczasem wciąż stawał się dłuższym, a na nieszczęście różne kręciły się drogi. Franek nie wiedział, którą drogą iść trzeba, i dla tego téż zabłądził. Wszedł na jakąś dróżynkę, a ponieważ było ciemno, więc zeszedł z téj dróżynki.

Biedny chłopiec znajdował się sam w obszernym, nieznajomym lesie i to w ciemnéj nocy. Padł na kolana chłopiec strudzony i pełen bojaźni. Pomodliwszy się nieco, zaczął wołać głośno o pomoc. Głos jego nie był napróżno, gdyż po małéj chwili ktoś mu odpowiedział, a niedługo zbliżył się ku niemu jakiś człowiek pytając, co tu robi. Franek opowiedział mu, że zabłądził. Pyta go ów człowiek jak się nazywa, zkąd i dokąd idzie? „Nazywam się Franciszek Siekiera“, była odpowiedź, „idę z Dzięglowic do mego wuja, który mieszka w Sosnowie.“

Jeszcze nie domówił słów ostatnich Franek, gdy go ów nieznajomy człowiek pochwycił w ramiona, ściskając go serdecznie: „O kochany Franusiu!“ mówił on, „jam to jest ów staruszek, któremu ocaliłeś życie; chodź czémprędzéj, abym ci się mógł wywdzięczyć za twe dobrodziejstwo, wszakżeż o to zawsze Boga prosiłem i proszę.“ Jakoż pochwycił Franka za rękę, prowadząc go przez zarośla. W drodze opowiadał starzec, że przebywa u syna, który

jest leśniczym, a mieszka tu ztąd niedaleko. Jakoż wkrótce przybyli przed mały domek.

Starzec wprowadziwszy Franka do izby, przedstawił go synowi i synowéj, mówiąc: „Oto mój wybawca Franuś, o którym wam nieraz powiadałem.“ Mile go przywitał leśniczy z żoną, ciesząc się, że może przyjąć w swym domu wybawcę swego ojca. Zaraz uczęstowano Franusia dobremi potrawami. Franuś musiał opowiedzieć o rodzicach, o sobie, gdzie i w jakim celu się udaje itd. Potém udali się wszyscy na spoczynek, bo już było bardzo późno. Starzec opowiadał Franusiowi, że przypadkiem wyszedł o kilkadziesiąt kroków od domu, a wtedy usłyszał wołanie o pomoc. Pobiegł więc czémprędzéj. „I oto“, mówił starzec, „któżby się spodziewał, że ciebie Franusiu znajdę.“

Nazajutrz wybierał się Franek w dalszą podróż, ale jakżeż się zasmucił, gdy się dowiedział, że brat jego matki wyprowadził się gdzieś daleko. Franuś zaczął rzewnie płakać. „O moja kochana matko“, mówił, „i wy bracia i siostry, cóż teraz poczniecie?“ Starzec, leśniczy i leśniczowa starali się go pocieszyć. Franuś opowiadał o wielkiéj biedzie, a co najgorsza, że matka i dzieci nie będą miały ani gdzie mieszkać, bo nielitościwy gospodarz za niewypłacenie komornego chce ich wyrzucić z izby.

„Otóż na to jest rada“, rzekł leśniczy. „Mały nasz domek prawda, ale my nie mamy dzieci, więc też dla nas samych jest za wielki, tak że dwie izdebki są próżne. Otóż gdyby matka chciała, toby się tu mogła sprowadzić, a nie będzie potrzebowała ani grosza zapłacić. Gdybyś ty zaś Franusiu chciał być leśniczym, tobym cię chętnie wziął w naukę.“

Franuś oświadczył, że bardzo rad chciałby się

uczyć leśnictwa, więc jeżeli matka zezwoli, to się z największą chęcią na to zgadza. Zaś ojciec leśniczego tak się odezwał: „Najlepiéj zaraz jeszcze dzisiaj pojadę z Franusiem po jego matkę i rodzeństwo.“ Leśniczostwo jak najchętniéj się na to zgodzili, a że leśniczy miał własne konie, to niedługo już stał wóz, zaprzężony końmi, przed domem. Leśniczowa nakładła na wóz chleba, masła, miodu, mięsa itd. dla braciszków i siostrzyczek Franusia, a za małą chwilę jechał Franuś z staruszkiem. Jeszcze przed wieczorem stanęli we wsi, gdzie mieszkała matka dobrego chłopca.

Trudno opisać radość, jaka panowała w ubogiéj izdebce na widok staruszka i Franusia. Dzieci zgłodniałe jadły chleb, miód, a matka patrząc na ich radość od łez się wstrzymać nie mogła. Starzec oświadczył, że jego syn i synowa chętnie chcą Katarzynę przyjąć do siebie. Ta zakłopotała się nieco, bo była jeszcze winna kilkanaście złotych za komorne gospodarzowi. Lecz starzec jakby już wiedział o tém, wyjął dwadzieścia złotych i dał je ubogiéj wdowie, mówiąc, że to pożyczka, którą mu odda jak będzie miała, a potém dał drugie 20 złotych Franusiowi, mówiąc: „To dla ciebie chłopcze za te dwa złote, coś mi darował.“ Nie chciał z początku przyjąć Franuś, ale gdy mu starzec to samo powiedział, jak on mu niegdyś, tj., że jeżeli nie przyjmie, to się widać gniewa, wtedy musiał przyjąć chłopiec te pieniądze.

Nazajutrz wyjechali wszyscy, a już wieczorem stanęli u celu podróży. Leśniczostwo przyjęli bardzo uprzejmie i serdecznie Katarzynę i jéj dzieci. Franuś za zezwoleniem matki zaraz się zaczął uczyć leśnictwa, a po kilku latach został leśniczym, a wtedy wziął matkę do siebie.

Otóż tak Bóg wynagrodził dobre serce Franusia. Pięknie to jest gdy dzieci wspierają ubogich, Bóg takie dobre dzieci kocha i im błogosławi.

Przytaczam wam tu kilka pięknych wierszyków o dobroczynności:

Starzec niewidomy.

Był raz starzec niewidomy,
Obchodził on z torbą domy.
Za rękę go wiódł sierota,
Otwierał mu drzwi i wrota.
Ale wszędzie ich łajali,
Przytém jeszcze potrącali.
Tylko jedno dziecię tkliwe
Widząc starca włosy siwe,
Widząc starca ciemne oczy,
Słysząc starca głos uroczy,
Na wpół drżący i rzewliwy;
Patrząc na stan nieszczęśliwy;
Grosz ostatni — to niemało,
Ze łzą w oku mu podało.
Jednak starzec nieszczęśliwy
Nie zobaczył łezki tkliwéj...
Ale Pan Bóg łzę zobaczył
I do nieba wziąść ją raczył;
Odtąd łza ta, drogie dzieci,
Tak jak gwiazdka z nieba świeci.

Dziadek pod murem.

Siedział siwy dziadek i śpiewał godzinki,
Aż tu sobie idą z mateczką dziecinki;
Nadstawił miseczkę, dziatki grosik dały,
Potém się ciekawie mateczki pytały:

I na co on śpiewa? „Pana Boga chwali,
Prosi litościwych, żeby mu co dali;
Tysiące go miną, jeden grosik rzuci,
On zmówi paciorek, piosenkę zanuci.
Smutne jego życie! on poddasza niema,
Siedzi pod tym murem czy lato, czy zima;
Wy macie futerka i ciepłe berlacze,
On nieraz na zimno dotkliwie zapłacze.“
„O Boże! — dziateczki mówiły ze łzami,
To, luba mateczko, niech on pójdzie z nami:
U nas takie ciepło, tak dobrze u mamy!
My z naszego stołu jeść dziadkowi damy.“
Zezwoliła matka. Był to widok miły,
Jak owe dziateczki starca prowadziły,
Cieszyło się niebo, ziemia radowała,
Że pięknie mateczka dzieci wychowała.

Druciarz.

Szedł druciarz ulicą. Wy znacie druciarza?
Co garnki drutować! raz po raz powtarza.
Szedł w lichéj odzieży, a mróz był niemały,
I ręce zacierał, i z zimna drżał cały.
Dwa złote mu chciała dać matka Maryni;
Dziewczynka wstrzymuje: „Ach co mama czyni?
Wszakże on nie żebrak, ręki nie nadstawia?
On tylko drucikiem garnuszki naprawia.“
Matka. „Gdy widzisz biednego nie czekaj, aż prosi,
Ten czasem co błaga i łzami twarz rosi,
Jest chytry, podstępny, a nędza prawdziwa
Przed okiem litosnem nieraz się ukrywa.“

Nie dręczcie zwierząt.

Mały Kubuś lubił nieraz dokuczać zwierzątkom. Brzydka to bardzo wada u dzieci, jeżeli dręczą zwie-

rzęta, choćby to były nawet muchy, motyle lub chrabąszcze. Bóg wszystko stworzył na świecie dla pożytku i ozdoby, bez potrzeby tedy nie ma człowiek zabierać życia zwierzętom. Przecież Kubuś, chociaż w rzeczy saméj był niezłym chłopcem, chwytał motylki i chrząszcze, aby się z niemi bawić, a nieraz to i kota lub psa uderzył. Dowiedziawszy się o tém nauczyciel umyślnie raz zaczął w szkole mówić o zwierzętach, jakie one ludziom sprawiają pożytki, i jak to kary jest godne, kto zwierzęta dręczy. „I najmniejszy robaczek nienapróżno stworzony“, mówił nauczyciel, „najmniejszemu stworzeniu Bóg jakiś cel przeznaczył. Ile to nam korzyści i zabawy zwierzęta przynoszą. Raz jeden młody królewicz pytał się na co są pająki? Zdarzyło się, że gdy wpadł nieprzyjaciel do kraju jego ojca, wtedy i królewicz musiał uciekać. Schronił się w pewnéj jaskini, a ledwie że wszedł, to już pająk osnuł cały otwór pajęczyną. Nadeszło tam wkrótce dwóch nieprzyjacielskich żołnierzy, którzy chcieli wnijść do jaskini, ale ujrzawszy pajęczynę, odeszli, mówiąc, że gdyby kto wszedł przez otwór, toby musiał popsuć pajęczynę. Wtedy padł królewicz na kolana i dziękował Bogu, że go takim cudownym nieomal sposobem zachował przy życiu.“ Mówił jeszcze wiele nauczyciel w téj myśli, a potém wziął książeczkę i kazał czytać Kubusiowi niektóre kawałki. Czytał Kubuś między innemi co następuje: „Koń w niewoli. Był rycerz, którego Turcy wzięli do niewoli. Przyprowadziwszy do swego obozu, skrępowali go powrozami, i tak rannego, bez opatrzenia, na ziemi porzucili. W nocy usłyszał rżenie i poznał, że to był głos jego konia, który stał opodal przywiązany. Przyszło mu na myśl, żeby przynajmniéj konia uwol-

nić i puścić do domu, poczémby w domu łatwo się domyślili, co się z nim stało. Przyczołgawszy się do konia, przegryzł zębami postronek, krępujący koniowi nogi, i rzekł do niego: „Idź do mojéj żony, a powiedz, że twój pan jęczy u Turka w niewoli.“ Ale koń, jak gdyby zrozumiał, co pan od niego chce, ujmuje go w zęby, i niesie aż do domu; a tam dopiero stanąwszy, pada bez sił i zdycha.“

Napomniawszy nauczyciel Kubusia, aby nic złego nie czynił zwierzętom, pożyczył mu téj książeczki do czytania. Kubuś czytał w téj książeczce, a odtąd zmienił się zupełnie. Zaraz pierwszego dnia jak przyszedł do domu, zaczął przepraszać psa i kota, bo to jeszcze był mały chłopczyk, dopiero w ósmym roku. Brzydko to jest, gdy dzieci dręczą zwierzęta, a pięknie gdy nic im złego nie czynią.

Uwaga. Książeczka ta, którą czytał Kubuś, ma napis: *Uwagi i przykłady przeciwko dręczeniu zwierząt.* Wyszła w Lesznie u Günthera, a jest bardzo pożyteczna dla ludu i młodzieży.

O starym Grzegorzu i sierotce Wojtusiu.

Bardzo dawnemi czasy mieszkał nad Gopłem poczciwy gospodarz, imieniem Grzegorz. Siedemdziesiąt lat mu dobiegło, a jeszcze nie znał co to choroba; siwy włos okrył mu skronie, czoło pokryło się zmarszczkami, oczy zapadły głęboko, starość nie radość pochyliła go ku ziemi, pomimo to jednak czuł się na siłach, pracował od dnia do nocy, bo tak się był wdrożył do roboty, że przykrzył sobie

w próżnowaniu. W lecie uprawiał ziemię, kopał ogród, łowił ryby w jeziorze. Zimą młócił w stodole, a wieczorami kręcił tabakę w donicy, zaprawiał ją dzięglem, żeby pachniała; naprawiał porozrywane siecie, nowe pałąki do bębenków strugał, sidła na ptaki sporządzał, z szakłakowych gałęzi robił piękne kije, koziołki, dzidki, gadziny, które potém kruświckie dziady roznosiły po całéj Wielkopolsce. Poczciwy Grzegorz wyplatał koszyki z rogoziny, robił także wiosła do czołen i inne rozmaite rzeczy.

Pracowitemu Pan Bóg dopomaga, więc téż i jemu wszystko się dobrze wiodło: miał piękne owoce, bydło, parę koni, wozik szybowany, sukmanę jednę i drugą, kożuch porządny, słowem na niczém mu nie zbywało. Szanowali go wszyscy, młodzi i starzy. Był pobożny, wiedział na czém świat stoi, miał doświadczenie i zdrowy rozum, można się było od niego różnych rzeczy nauczyć, bo darmo chleba nie jadł na świecie.

W każde święto przed jego chalupą zbierali się gospodarze i parobcy na poradę, a w razie kłótni obierali go za sędziego. Znał kalendarz, wiedział kiedy co przypada, kiedy dnia przybywa i kiedy ubywa, na nowy rok mówił: przybywa dnia na zajęczy skok — na świętego Pryska przebije lody pliszka — święta Agnieszka wypuszcza ptaszka z mieszka — o świętéj Dorocie, wyschną chusty na płocie — na święty Walek nie ma pod lodem balek — święty Maciéj zimę straci, albo ją zbogaci — suchy marzec mokry maj, będzie żytko jako gaj — na świętego Grzegorza idą rzeki do morza — przyjdzie kwiecień, lada z czego wianek spleciem — na święty Wojciech kobyli pociech — kiedy grzmi w święto Wojciecha, rośnie rolnikom pociecha —

święty Marek przyszedł na folwarek oglądać żytko, czy zeszło wszytko — święta Zofija kłosy wywija — na święty Wit, słowik cyt — święty Wicie piętka w życie; nie słyszę cię panie, aż połowa ptactwa śpiewać przestanie — święty Jan przyniesie oleju dzban. — Kiedy padał deszcz na świętego Jana, poczciwy Grzegórz mawiał: jak się święty Jan rozczuli, to go dopiero Najświętsza Panna utuli (Nawiedzenie Panny Maryi), a przy koszeniu tak powtarzał: kiedy człowiek łąkę kosi, lada baba deszcz uprosi.

Tak pędził życie spokojnie i szczęśliwie stary gospodarz, i jedno tylko smuciło go, że nie miał dzieci; kochana żona odumarła go wcześnie, krewni jedni pomarli, drudzy się porozchodzili na inne wioski, więc mu było przykro.

Jednego razu, kiedy wracał z odpustu, zmęczony spoczął przy drodze, a że staremu jak się nogi rozchodzą to chodzą, a jak staną, to już iść dalej nie chcą, więc i naszemu Grzegorzowi tak się przygodziło; co się zamierzy staruszek, to padnie; bo późne latka tak człowieka do ziemi cisną. Mój Boże! myślał sobie Grzegórz, w młodości skakało się przez szerokie rowy, po wysokich górach się chodziło, a dziś ..... i zwiesił głowę na piersi, czekając rychło kto nadejdzie, coby mu podał rękę. Kiedy tak czeka, spoglądając to na Kruświcką wieżę, to na Gocanowski kopiec, aż tu widzi na gościńcu małego chłopca, okrytego nędzną płachtą, który płacząc zbliża się ku niemu. Poruszony litością stary Grzegórz, zapytał chłopca: „moje dziecko, i czegóż to tak płaczesz?“

„Oj tatulu“, odezwał się chłopczyk, „bieda mi na świecie, sierota jestem, ojciec mi umarł, matka umarła, siostra umarła, brat umarł.“

„I gdzie ty idziesz nieboże?“

„Sam nie wiem gdzie, tatulu; tak idę oto może się kto zlituje.“

„A umieszże co, żebyś sobie zarobił na kawałek chleba? nie nauczyli cię jakiego rzemiosła?“

„Nie, jeno gęsi paść, krowy zaganiać.“

„A umiesz pacierz?“

„Co prawda, to nie, matka mnie nie nauczyła pacierza.“

„To ty nic nie umiesz?“

„Umiem piosneczkę o Jasiu co utonął, i o Marysi co utonęła, umiem grać na piszczałce.“

„Z tego nie będziesz miał chleba, przy piszczałce możesz z głodu umrzeć.“

Mały chłopiec zaczął płakać rzewnemi łzami. „Mój Boże! mój Boże!“ wyrzekał, „któż się też nademną ulituje?“

„Cyt, cyt, kochanku, nie płacz; Pan Bóg łaskawy, a i ludzie nieostatni, znajdzie się dla ciebie kawałek chleba w mojéj chałupie, a jeźli będziesz miał chęć do pracy, to nie doznasz biedy na świecie. O drugą matkę, drugiego ojca, drugą siostrę, drugiego brata, trudno; ale są dobrzy ludzie, co choć nie tak bardzo ukochają, wszelako nie odepchną od siebie. Uspokój się moje dziecko, jest-ci matka wszystkich sierót, królowa nieba i ziemi, i ojciec, ten Bóg najwyższy na niebie. Pomóż mi oto podnieść się ze ziemi, i pójdź ze mną.“ Mały chłopiec, ale silny, podał rękę staruszkowi. Poczciwy Grzegórz podniósł się i poszli ku pobliskiéj wiosce, nad brzegiem jeziora Gopła położonéj.

Prześliczny letni zachód słońca ozdobił całą ziemię: wody jakby w złoto zamienił, lasy jakby modrą szatą odział; z łąk wiała wonność jak z kadziel-

nicy w kościele, a krzyki kulików, rybitew, czajek, cała kapela Bachorzy *) wzniosła się ku niebu.

Mały Wojtuś przestał płakać, jeno jeszcze raz poraz westchnął, jak to zwyczajnie po wielkich łzach. Powoli uspokoił się zupełnie, a nim doszli do wioski, już sobie wyśpiewywał piosneczkę o Jasiu co utonął i o Marysi co utonęła.

Przyszedłszy do schludnéj chaty, stary Grzegórz zawołał na dziewkę co doiła krowy, żeby ugotowała wieczerzę. Jasiek parobek przywitał gospodarza, a spostrzegłszy chłopca w biednéj płachcinie zapytał: „kogożeście to nam przyprowadzili?“

„To sierota, bez ojca, bez matki.“

„Mój Boże! sierota“, powtórzył z politowaniem poczciwy Jasiek, a wspomniawszy na ubiegłe lata dodał: „to tak jakby ja, pamiętacie gospodarzu, jakeście mnie to ze spalonéj chałupy wzięli na opiekę“, i pokłonił się do nóg staremu Grzegorzowi.

„To tam nie ma o czém mówić“, odrzekł staruszek, „ręka rękę myje, człowiek człowiekowi pomaga; dobrze, że pamiętasz swoją biedę, bo nie będziesz mi chłopaka potrącał.“ Potém powtórzył stary Grzegórz różne przysłowia o sierotach: „kto sierotę potrąci, temu ręka uschnie — kto źle spojrzy na sierotę, ten będzie zyzem patrzał całe życie — kto jéj nie napoi, ten choćby morze wypił, jeszcze mu się pić będzie chciało — kto kawałka chleba sierocie odmówi, temu się nic nie urodzi —

*) Tak się zowią rozległe błota przy jeziorze Gople. Kruświca jest małe miasteczko w Wielkopolsce, czyli w W. X. Poznańskiém. Dawniéj była to stolica książąt polskich. Tu przed lat tysiącem został obrany królem Piast, rolnik z Kruświcy. Gocanow, wieś nad Gopłem, gdzie się wznosi mogiła czyli kopiec, pod którą Piasta prochy spoczywać mają.

kto sieroty nie ogrzeje, tego zimno przez dwanaście lat będzie trzęsło — kto sierotę wyśmieje, tego Bóg od siebie odepchnie.“

Jasiek, aż słowa w gębie zapomniał, kiedy tego słuchał, patrzał jeno, a patrzał w starego gospodarza, kręciło mu się tam coś po sercu, chciał odpowiedzieć, ale prostemu człowiekowi to nie idzie; rozpłakać to się rozpłacze, rozśmiać to się rozśmieje, uderzyć to uderzy, ale przemówić pięknie, to już nie może od serdecznego płaczu. Znać jednak, że Jasiek długo o tém myślał, bo przez całą noc wygrywał pod stodołą na fujarze, a tak ślicznie, jakby Pana Boga chwalił.

Po wieczerzy staruszek ukląkł przed obrazem, i Wojtusiowi przy sobie klęknąć rozkazał, a odmówiwszy głośno Ojcze nasz, Zdrowaś i Wierzę, zakończył pacierz temi słowy: Matko Najświętsza, Królowa nieba i ziemi i pani całego świata, ratuj tonących, prowadź błądzących, pomagaj w polu, daj wytrwać w bólu, obroń od wroga, strzeż od pożaru, od głodu i zniszczenia, od gradów i zbytniéj suszy, miéj litość nad duszą moją, a w godzinie śmierci daj mi lekkie skonanie.

Poczém pomodliwszy się jeszcze w ciszy i ucałowawszy ziemię na znak pokory, układł się na tapczanie, okrył się kożuchem i zasnął; mały Wojtuś na przylepie koło ogniska spał już od dawna.

Nie minął rok od czasu jak poczciwy gospodarz wziął sierotkę na opiekę, a już przemyślny i pracowity chłopiec nauczył się wielu pożytecznych rzeczy; pilnie przypatrywał się wszystkiemu co robił Grzegórz, i jak mógł, naśladował. Z początku trudno mu było, ale z czasem mało po mału, nauczył się tyle, że mu pomagał w pracy. Kiedy człowiek

chce, to wszystko może; nie ma na świecie czegoby nie zrobił, kiedy jeno ma chęć do tego.

Ksiądz proboszcz widząc jego dobre sprawowanie się, kazał mu co wieczór przychodzić do siebie i uczył go czytania, pisania, katechizmu i ministrantury. Dziwili się wszyscy Wojtusiowi, dziwił się sam nawet organista, choć się miał za rozumnego we wsi.

W niedzielę, kiedy poczciwy Grzegórz przyszedł do kościoła, a zobaczył swego Wojtusia, jak ślicznie księdzu po łacinie odpowiada, to łzami radości skrapiał twarz pomarszczoną. „Mój Boże! ktoby się to był spodziewał“, mawiał do siebie, a kończył zwyczajnie, „tak to, tak, Opatrzność Boska czuwa nad sierotami.“

Tak rósł Wojtuś w cnotliwym domu starego Grzegorza, uczył się pracować, Boga nie obrażać, starszych szanować, a każdemu dobrze czynić.

Jednego razu łowiąc ryby na Gople, usłyszał Wojtuś wielki krzyk nad brzegiem jeziora; obejrzawszy się, ujrzał młodą gospodynię Jaśkową, która załamując ręce wołała: „Ratujcie, ratujcie, kto w Boga wierzy, ratujcie!“ Czémprędzéj więc popłynął ku niéj.

„Co wam się stało gospodyni?“ zapytał.

„Chłopiec mi utonął, gwałtu! rety! ratujcie!“ wołała biedna matka.

Nie namyślając się ani chwili poczciwy Wojtuś, rzucił się w wodę; a że umiał nurkować i nieraz na dno jeziora zaglądał, przeto wkrótce pochwycił tonące dziecko i wyrzucił na brzeg. Mała dziecina leżała bez duszy, blada, zkostniała, nieokazująca najmniejszego znaku życia.

Trudno opowiedzieć rozpacz nieszczęśliwéj ma-

tki, wyrzekania i płacze; biedna kobieta nie wiedziała co począć, do kogo się udać; darła sobie włosy na głowie, biadała, płakała, a przez ten czas Wojtuś tarł ciało dziecka swoją zmokłą sukmanką, patrząc rychło otworzy oczy. Jakoż niezadługo dziecina podnosić zaczęła zdrętwiałe powieki i rumieniec życia, jak słoneczko jasne, okrasił blade liczko chłopca.

„Żyje!“ krzyknął uradowany Wojtuś, nie płaczcie gospodyni, chłopiec żyje, otoć patrzy i usteczkami rusza.“

Uszczęśliwiona matka porwała dziecko na ręce, a wyrzekłszy te słowa: „Miłosierny Boże, niech ci będzie chwała!“ pobiegła do chaty.

Wojtuś został sam nad jeziorem, chwilę stał zamyślony niewiedzieć o czém; potém ogarnęła go radość niesłychana, począł biegać po piasku, klaskać w ręce, śpiewać, wykrzykiwać, jakby go największe szczęście na świecie spotkało.

Bo też nie ma większego szczęścia, jak kiedy człowiek bliźniemu co dobrego uczyni. Gdyby wszyscy ludzie jedni drugim dobrze czynili, gdyby się wszyscy szczerze kochali, toby na świecie było jak w niebie, ludzie by sobie jak aniołowie chodzili po drogach.

Wieść o wyratowaniu dziecka Jaśkowéj rozeszła się po wsi. Stary Grzegórz siedział z grabiami przed chałupą, spoglądając na stożek siana ułożony na pobliskiéj łące, kiedy jedna z kobiet wiejskich zbliżyła się ku niemu.

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, rzekła.

„A cóż tam powiecie nowego?“ zapytał Grzegórz.

„Dobrzeście zrobili Grzegorzu, żeście tego sierotkę przyprowadzili ze sobą, chłopak poczciwy.“

„Chłopiec dobry, ale zkądże wam przyszło o tém gadać?“

„Któżby téż mógł nie mówić, a toć to on dzisiaj nad wieczorem Jaśkowéj dziecko z jeziora wyratował, a nawet prawie już nieżywe do życia przywrócił.“

„Bójcie się Boga, kto? czy Wojtuś? A toć ja o tém nic niewiem.“

„Jak mi Bóg miły, że prawdę mówię“, odrzekła kobiecina.

„Dobry, łepski chłopak, niech mu Bóg to nadgrodzi. Otóż człowiek doczekał się pociechy. Ale jakże to było?“ zapytał Grzegórz.

Stara kobieta poczęła opowiadać, jak się to stało. Na dokończeniu wszedł Wojtuś w podwórko, niosąc koszyk z rybami.

Pójdźno sam“, zawołał Grzegórz, „cóżeś to dzisiaj zrobił, powiedz jeno?“

„Nic tatulu“, odpowiedział zalękniony Wojtuś, „cały dzień łowiłem ryby na wędę.“

„Ale tyś pono jakąś osobliwszą rybkę wyciągnął, co nie ma łuski, co nie pływa?“

„Teraz to już wiem, co to za ryba“, odrzekł Wojtuś.

„Widzisz, że mam rozum; dobrze, dobrze moje dziecko, idź do izby, zanieś koszyk i weź się do skrobania ziemniaków.“ Wojtuś pokłoniwszy się do nóg Grzegorzowi, odszedł, a wkrótce potém Jasiek gospodarz z żoną przyszli z podziękowaniem, niosąc wódkę we flaszce pod pachą.

„Witajcie, witajcie, a z czém dobrém“, zawołał Grzegórz.

„Z podziękowaniem, ojcze, za wyratowanie dziecka.“

„Ciszéj, ciszéj, moi drodzy, wiem o wszystkiém,

ale tego nie potrzeba gadać, bo popsulibyście mi chłopaka temi pochwałami; ludzka natura smakuje sobie w pochwałach, a pochwały często szkodzą.“

„Co się należy, to należy“, odrzekli rodzice uratowanego dziecka.

„Komu? co?“ odparł Grzegórz.

„A jużci kiedy człowiek co dobrego zrobi....“

„To mu tak Bóg przykazał, więc trzeba Bogu za to podziękować, i na tém koniec; idźcie z Bogiem, nie ma o czém gadać.“

„A no kiedy tak, to niech Bóg zdrowiem was ojcze i waszą sierotę za to wynagrodzi.“

„Bóg wam zapłać moi kochani.“

Dobrzy ludzie odeszli już daleko, a staruszek jeszcze powtarzał: „Tak, tak, łepski chłopak; ozłocić takie dziecko, tak, tak.“

Wojtuś rósł przy cnotliwym staruszku w lata, rozum i poczciwość, a wiek mu płynął jako woda. Minął rok jeden, drugi i więcéj, szły latka spokojnie i wesoło, a zawsze jednakowo, jak to na wsi, gdzie jakby kółko obracał zawsze to samo: w dzień się pracuje, a w nocy odpoczywa; wypadków też żadnych nie ma, co najwięcéj jeśli bydlę zniszczeje, jeżeli grad potłucze zboże, jeśli się spali jaka chatka. Śmierć rzadko kiedy zagląda, a kiedy zajrzy, to najwięcéj samych staruszków zabiera, zresztą nic ciekawego.

Jednego ranku w niedzielę Wojtek, idąc ze swoim opiekunem, ojcem Grzegorzem, na nabożeństwo do kościoła, milczał spuściwszy oczy na ziemię, jakiś smutny, dziwnie zakłopotany.

„Cóż ci to synu?“ zagadnął staruszek.

„Ej tatulu nic, tak oto sobie myślę.“

„A o czém-żeś się tak zafrasował?“

„Oto myślę, jak ja wam za wszystkie dobrodziejstwa wynagrodzę, żebym ja to mógł przez jaki sposób.“

„Nie masz sobie nad czém głowy łamać, jest sposób jeden.“

„A to jaki?“

„Idź na wojenkę do swoich, a jak wrócisz, to ci stary Grzegórz dom odstąpi, a ty mu to zrobisz, mały domek z pięciu desek dębowych i pochowasz na poświęconéj ziemi.“

„Nie gadajcie o tém kochany ojcze, będziecie żyć i mnie jeszcze przeżyjecie, a co o wojence, to już o tém myślałem, jenom się bał, żeby was nie zmartwić.“

„Moje dziecko! podałeś rękę Grzegorzowi, kiedy z ziemi wstać niemógł, za to cię przyjął do chaty swojéj; wyratowałeś chłopca Jaśkowéj, za to masz przyjaciół w całéj wiosce; a teraz jak pójdziesz na wojnę, a dobrze się sprawisz, to cię będą wszyscy rodacy kochali, a stary Grzegórz będzie miał pociechę, że takiego chłopca wychował. Nie mam dzieci, krewniacy ani mnie ziębią, ani grzeją, więc wszystko co moje, to i twoje; a jeżli mnie Stwórca świata zawoła do siebie, to wiem, że pracy mojéj nie zmarnujesz.“

„Tatulu drogi! niech wam Bóg nagrodzi wasze dobre serce, jeźli nie na tym, to na przyszłym świecie.“

„Na przyszłym świecie Wojtusiu, bo na ziemi już mi się wiele nie należy.“

Nazajutrz jak świt Wojtek żegnał się z Grzegorzem, staruszek rozpłakał się rzewnemi łzami.

„Bądźcie zdrowi“, powtarzał Wojtuś.

„Niech cię Bóg prowadzi“, odpowiadał Grzegórz, „już ja ciebie pewnie nie zobaczę; idź moje dziecko,

a na drogę weź chleba kukiełkę, żebyś się u nikogo nie prosił; na wojnę weź obrazek na blaszce malowany, żeby cię od kuli zasłaniał." Wojtek uściskał nogi Grzegorza, otarł z oczu dużą łzę gorącą, przeżegnał się, spojrzał ostatni raz na chatkę, w któréj znalazł przytułek, spojrzał na wierzbę, na stodołę, westchnął i poszedł z innymi na wojenkę daleką.

Nie długo trwała ta wojna. W pół roku wrócił Wojtek pod Kruświcę, wyleczywszy się w szpitalu z odniesionéj rany, gdyż kula strzaskała mu nogę, przywlókł się więc na szczudle. Cała wioska wybiegła na jego powitanie, jeden tylko poczciwy Grzegórz nie wyszedł. Smutne przeczucie ogarnęło Wojtka. „A mój tatulo czy zdrowy?" zapytał.

„Oj zdrowy, i nigdy już nie zachoruje."

„Co się to znaczy, co wy mówicie?"

„Twój tatulo tam wysoko, Wojtusiu; tyś drugi raz sierotą na świecie, jeno teraz już biedy nie będziesz cierpiał, bo stary gospodarz chałupę i cały swój dobytek tobie zostawił."

„Pan Bóg czuwa nad sierotami", odpowiedział Wojtek.

„A dobremu dobrze na tym świecie", wtrącił jeden z gospodarzy.

Poczém wszyscy udali się do chaty Wojciecha, gdzie on ich wszystkich mile częstował, i o nieszczęśliwéj wojence opowiadał. Jasiek parobek i dziewka służebna bardzo się uradowali z przybycia nowego gospodarza.

Radości było wiele, jak się zwyczajnie dzieje, kiedy człek poczciwy z dalekiéj drogi, z wojaczki, do swoich powraca.

Co się daléj stało nie wiem, i nie pytałem się; zresztą dosyć mi na tém, żem się przekonał, że

nikt na świecie nie zginie, kto ma ochotę do pracy, kto się Boga boi, a poczciwych ludzi szanuje.

(Wyjęte z Szkółki dla dzieci, wydawanej przez E. Estkowskiego w Poznaniu.)

Kilka zagadek.

1. Bieluchna w ustach trzymana,
Gryzie język, podniebienie;
Tak ubogiego, jak pana,
Zaprawia zawsze jedzenie;
Jeźli w ustach ona gryzie,
Przykrzejsza, gdy w oko wlezie.

2. Zawsze z nożycami, przecież nie jest krawcem.

3. Przyjechali kłopociarze,
Wyłapali gospodarze,
A dom uciekł oknami.

4. Jeden ojciec miał synów dwunastu,
Jedenastu za życia pochował,
Najmłodszego śmierci przeżyć nie mógł,
I wraz z synem Bogu oddał ducha.

5. Gwiżdże a nie ma trąby, ani gardła.

6. Szedł mąż ze żoną, brat ze siostrą, znaleźli 4 jabłka, każdy wziął po jednemu i jeszcze jedno zostało.

7. Jakich najwięcej kamieni we wodzie?

8. Tuż jeden za drugim,
Siedmiu braci przeszło smugiem,
Sześciu pracowało pilnie,
Siódmy modlił się usilnie.

9. Pod jakim krzakiem siedzi zając kiedy deszcz pada.

10. Jeden na wzgórku, drugi znacznie niżéj,
Dwóch nieprzyjaciół mieszkało w pobliży.
„Hej! zły sąsiedzie“, krzyknął ten ze wzgórza,
Coś mi tam waszeć zakrawasz na tchórza,

Boś się tak milczkiem do ziemi przyczaił,
Groblą zagrodził, olszyną zagaił,
Wodą opasał; i z takiéj warowni
Nie wstyd cię mruczeć na mnie pod nosem.
Wyjdźno pokrako z dziury, stań na równi,
I sprobuj bitwy — ho! przez Boreasza
Doświadczysz mocy mojego pałasza,
Krzyżową sztukę, jednym dzielnym ciosem,
Zgarbiony łeb twój rozpłatam we dwoje,
I krzyczał szermierz, rękami miotał,
Jak gdyby niemi wyzywał na boje,
Zębami zgrzytał, językiem bełkotał.
Zelżony gderacz stary, swym zwyczajem
Milczał przysiadłszy za bystrym ruczajem,
Rzekłbyś, nie słyszy ostrych słów sąsiada,
Lub nie dba o to, co tam sąsiad gada.
Naraz jął wodę bić wściekle pięściami,
Zatrząsł się z gniewu, a rozwlekły w słowie
Tak na obelgę zadaną odpowie:
„Czekaj kochanku, cóż to, że nad nami
Hardy łeb nosisz, to już ci się godzi
Starych przedrwiewać i lżyć jak niecnoty!
Myślisz, że nie mam do walki ochoty?
Pójdźno! zobaczym kto kogo uchodzi?
No chodź! jam stary, pod górę nie zmogę,
Tyś młody, łatwo przebędziesz tę drogę.
Ty, co to z wiatrem o lepszą się gonisz,
Po cóż na darmo marne słowa trwonisz,
Zamiast przyjść do mnie. Wierz mi, to nie sztuka
Kręcić się w miejscu, ani też nauka
Paplać co ślina do ust ci przyniesie!
Ot — powiem szczerze, dwaj czy trzéj obwiesie,
Poprzedniki twoje, co na tem samém wzgórzu
Sąsiadowali ze mną i jak ty mnie lżyli,
Przecież mi zajrzeć w oczy się nie odważyli.
O! przez Neptuna, przysięgam ci tchórzu,
Co tylko grozisz i kończysz na grożbie,
Nie litowałbym zaklęciom ni groźbie,
Ale w najgłębszą toń strumienia mego
Wtrąciłbym samochwalcę nieznośnego!“

Wtrąciłbym, wtrącił, i tak bez ustanku
Wtrąciłbym, gderał od mroku do ranku.
A przytem sapał, pianą buchał, fukał,
Zżymał się, warczał i zębami stukał.
Chłop co tam obok pasł konie na łące
Podsłuchał swary te nieustające,
I rzekł spokojnie: „Niech tam zwada wasza
Przyda się na coś — będzie chleb i kasza.“

Rozwiązanie tych zagadek nastąpi w przyszłym tomiku, a teraz odgadnijcie, kochane dzieci, ich znaczenie.